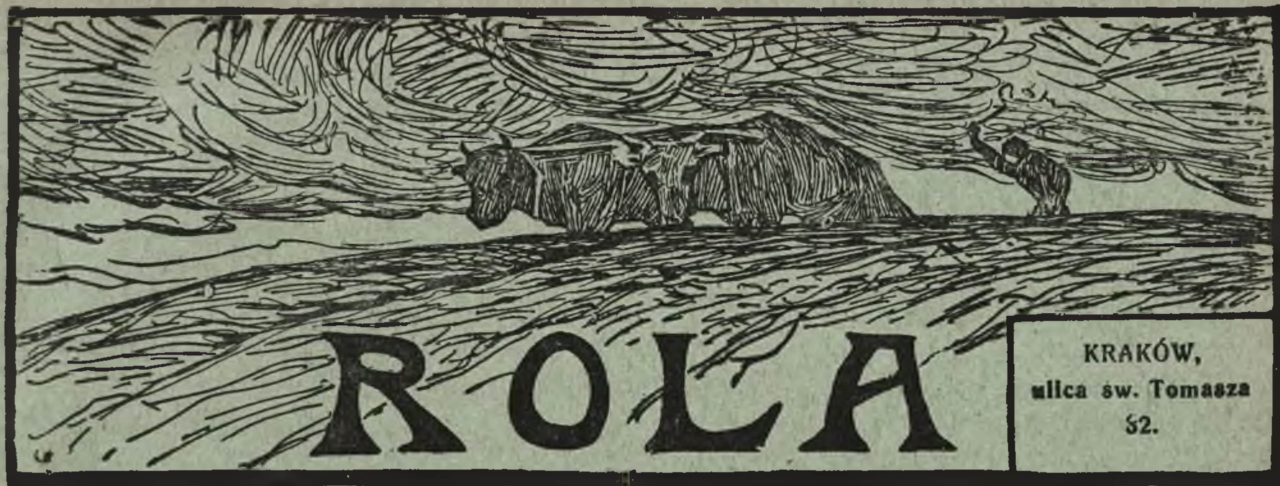
Numer 16. Nal. poczt. opł. rycz. **Dnia 15 Kwietnia 1928**



ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE

Przy przesyłaniu prenumeraty przekazami pocztowymi prosimy adresować nie do Administracji „Roli" lecz: **Konto pocztowe 406 301 Kraków.**

Prosimy o wyraźne pisanie adresów i podawanie także ostatniej poczty.

W szkole.

Nauczyciel chce dać uczniom przykład litości, mówi więc:

— Co będzie z mej strony, jeśli ujrzę, że człowiek bije osła i przeszkodzę mu?

— Miłość bliźniego! — odpowiada jeden z malców.



Po utracie narzeczonej.

Siostra: Uspokój się kochany Ludwiku, czas goi wszystkie rany. W ciągu trzech tygodni zapomnisz o niej...

Brat: Trzech lat nie wystarczy! Kupiłem przecież wszystkie podarunki na wypłaty!



W hotelu.

— Czy aby niema w tym pokoju pcheł?

— O! zapewniam pana, że nie!

— Dobrze! A czy da mi pan po złotemu za każdą, którą znajdę?

— Nie, panie! Nie jestem miljonerem!

Ma słuszność.

Synek: — Tato, co to jest kawaler?

Ojciec: — Mężczyzna, który się jeszcze nie ożenił!

— A jak się nazywa taki, który się ożenił?

— Takich wyrazów nie powinieneś słuchać, mój synku...



Różnica.

— Czy wiesz, jaka jest różnica między trąbą, a workiem mąki?

— Nie.

— To dmuchaj do jednego i drugiego, a zobaczysz...

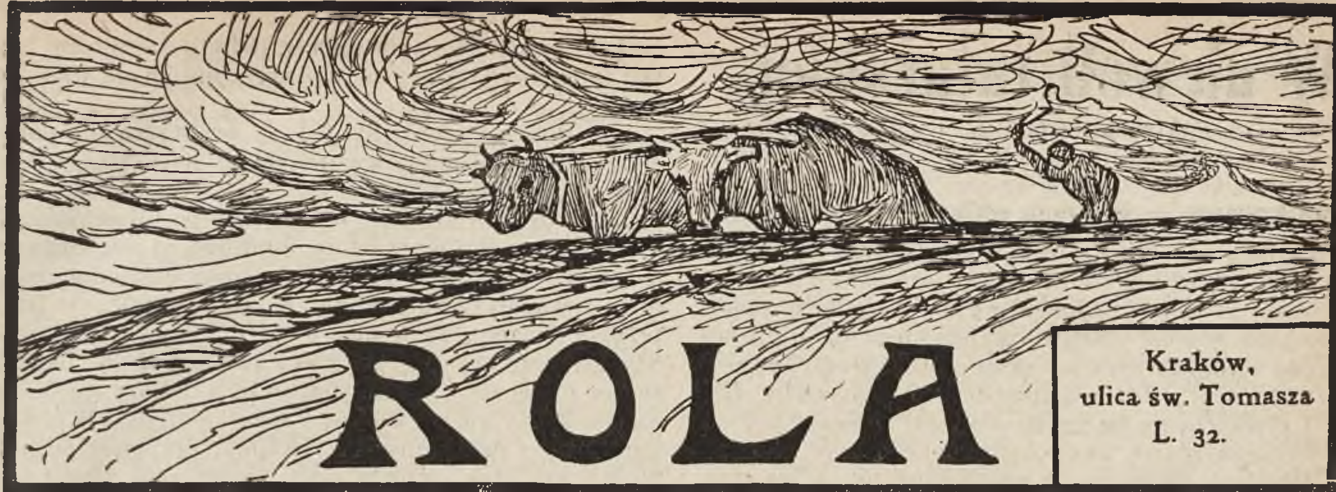


Nieszczęśliwe wypadki.

— Czy pan już w ostrożny sposób go zawiadomił, że jego żona zbiegła?

— Nie, ale tymczasem... żona wróciła. Jak go więc o tem w ostrożny sposób zawiadomię?

Numer 16. XI. Rok Kraków, dnia 15 Kwietnia 1928



ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Prenumerata na rok 1928: Rocznie 12 zł, półrocznie 6·50 zł, kwartalnie 3·40; do Ameryki 2 i pół dolara rocznie; do Czechosłowacji rocznie 50 kor. cz., półrocznie 27 kor. cz., kwart. 15 kor. cz. — Numer pojedynczy we wszystkich agencjach i w Administracji „Roli“ 30 groszy. — Adres na listy do Redakcji i Administracji: **Kraków, św. Tomasza 32.** Konto P. K. O. 406.301.

Sejm czy rząd.

Kto nie zajmuje się polityką, ale mimo to patrzy bezstronnie na to, co się w Polsce dzieje, dziwi się, dlaczego w Polsce tak ludzie kłócą się ze sobą i nie chcą wspólnie nad dobrem kraju pracować. Złe właściwe leży może nie tyle w nas samych, co w ustroju naszego życia politycznego. Po odbudowaniu Polski w 1918 roku, do którego przyczyniły się wszystkie warstwy narodu polskiego, ówczesny Naczelnik państwa Józef Piłsudski zarządził, aby cały naród brał współudział w zarządzaniu tem państwem i ponosił odpowiedzialność za jego losy.

W tym celu dopuścił do głosu każdego obywatela, który skończył 21 lat bez względu na płeć, narodowość i wyznanie. W zasadzie była to myśl piękna, ale w praktyce okazała się zgubną. Była piękna, gdyż wobec równych obowiązków, ciążących na każdym obywatelu państwa każdy powinien posiadać równe prawa, ale była zgubną, gdyż myśmy jeszcze nie dorośli do zrozumienia ważności naszych obowiązków.

Nasz współudział w rządzeniu państwem polega na wyborach posłów do Sejmu, którzy mają w naszym imieniu decydować, co dla kraju jest dobre, a co złe i układać tak ustawy, aby dla wszystkich była jednaka sprawiedliwość, a kraj wzmagał się z każdym dniem na siłach. Niestety do zrozumienia tej wielkiej prawdy myśmy jeszcze nie dorośli, a zło, jakie z tego powodu musiało wyniknąć, powiększyła jeszcze sejmowa ordynacja wyborcza. Wszak wiadomo, że przy wyborach nie wolno nam głosować na ludzi, do których mamy zaufanie, ale na numerki, wskutek czego do Sejmu dostają się ludzie, którzy w nim zasiadać nie powinni. Do czego to doprowadziło, dowodem był Sejm poprzedni. Nagromadziło się tam szumowin wszelkiego rodzaju poddostatkiem, a znikoma garstka ludzi uczciwych nic zdziałać nie mogła. Z tego też powodu Marszałek Piłsudski w owe pamiętne dni maja napędził nieudolny rząd, popierany przez większość ówczesnego Sejmu, a sam Sejm przez przeszło dwa lata bagatelizował i ze zdaniem się tegoż nie liczył. Rząd pod jego przewodnictwem pracował dobrze i mądrze, a Polska dźwigała się wewnątrz, a na zewnątrz nabierała znaczenia i powagi.

Przyszły nowe wybory w dniu 4 marca br. Zdawało się, że przy wyborach tych całe społeczeństwo opowie się za Marszałkiem i wybierze takich posłów, jakich on sobie życzy. I rzeczywiście polskie społeczeństwo niemal w całości opowiedziało się za Marszałkiem Piłsudskim, bo oprócz komunistów, zdeklarowanych wrogów własnej Ojczyzny i znikomej ilości skrajnych radykałów nikt nie odważył się wystąpić przeciw Marszałkowi. Większość szła do walki otwarcie z jego imieniem na ustach, ci których w owe pamiętne dni majowe odpędził od żłóbka, nie odważyli się wystąpić przeciw niemu otwarcie, a nawet po cichu zapewniali, że oni ogromnie kochają Marszałka Piłsudskiego, a tylko do Rządu nie mają zbytecznego zaufania.

I dokonały się wybory. Rząd Marszałka Piłsudskiego odniósł znakomity sukces, ale nie osiągnął zupełnego zwycięstwa. Weszło wprawdzie do Sejmu około półtorej setki zdeklarowanych zwolenników Marszałka, ale blisko dwa razy tyle to jego otwarci, lub utajeni wrogowie, albo też ludzie chwiejni, którzy sami nie wiedzą, co im czynić należy.

I zaczęła się znów gra w ciuciubabkę. Nikt nie wie, co najbliższa przyszłość przyniesie, czy Sejm ten zdoła pożytecznie pracować, czy pójdzie śladami swojego poprzednika i czas będzie tracił na walkach partyjnych, dbając więcej o popularność wśród swoich wyborców, czy też o dobro Ojczyzny?

Na pierwszem posiedzeniu, jak to już wiadomo naszym Czytelnikom Sejm pokazał rogi, wybierając Marszałkiem Sejmu p. Daszyńskiego, a nie Dra Bartla, którego sobie Marszałek Piłsudski życzył. Ale na następnych uląkł się swej odwagi i uchwalił wszystko tak, jak rząd chciał .

Co dalej będzie, trudno przewidzieć, to jednak pewne, że dopóki Marszałek Piłsudski żyje, to jego mocarna ręka nie dopuści do tego, aby Sejm poprowadził życie naszej Ojczyzny na manowce, ale gdyby go tak zabrakło, boć i on nie jest wieczny, to wtedy rozwielmożniłoby się znów partyjnictwo, z którem tak silnie Marszałek walczy i które jako tako w karbach utrzymuje.

W niewoli tatarskiej.

Powieść z XVI wieku osnuta na tle historycznem

V.

Łuna krwawa. — Stoczona walka. — Nowa strata.

Wkrótce też potem zachorował i nasz Kubalim; osłabł tak, że już się z łoża dźwignąć nie mógł, a była to wiosna, już pono ósma od owego wzięcia w jasyr. Pilnowałem starca, jakby ojca rodzonego, on mnie też jak syna miłował; chociaż ociemniały i słaby, odkrywał mi jeszcze różne wiadomości, do których w długiem i ciężkiem swem życiu doszedł; nauczył jak leczyć różne niemoce, rany opatrywać, z ziół rozmaitych leki przygotowywać; opowiadał także, co wiedział o dziejach i urządzeniach tatarskich.

Jednej nocy, pamiętam, było ciepło i rozkosznie na dworze, podniosłem kotary namiotu, a Niebo gwiaździste świeciło, jak gdyby tysiącem brylantów osypane. Aż tu zdala, od wschodu, jakby od Kaffy, czerwona łuna płonie. Nie miesiąc to, nie zorza też, bo dopiero północ, a łuna coraz bliżej i bliżej, i rozruch jakiś słychać i krzyki straszliwe... Stary wzniósł się i nadsłuchiwał, wpatrując się niby krwawemi powiekami w stronę, skąd wrzawa dochodziła; w całej osadzie rozruch się wszczął i trwoga.

— Kozacy! Kozacy! — krzyczeli Tatarzy, w nieładzie rwiąc się do broni i łoszaków swych dosiadając.

— Nieraz to tak bywało — mówił Kubalim — że dzielne syny Zaporoża w czajkach swoich (lekkie łódki) pomykali się ku wybrzeżom Krymu, ba, nawet i Turcji, i wpadłszy nocą niespodzianie, nabrali łupów, zapalili jakie miasto lub wieś pogańską i nim się Tatarstwo opatrzyło, nim się zorza zaczerwieniła na Niebie, zmykali jak ptaki wodne, które ulatują gdzieś daleko.

Teraz musieli być w znacznej sile, bo się zapędzili kawał od wybrzeża, aż ku naszej osadzie, która między Kaffą a Krymem leżała i szeroką łuną znacząc swój pochód, straszny popłoch między Tatarstwem wzniecili.

Naradziliśmy się prędko z Kubalimem i ja pobiegłem do szopy brańców, ażeby im otworzyć wrota, korzystając z ogólnego zamieszania. Jakoż po chwili zupełnie pusto było w szałasie, a nasi jeńcy spieszyli do łuny czerwonej, która im teraz świeciła nadzieją swobody, bo tam spodziewali się dostać do Kozaków.

I mnie serce żywo biło w piersi, mogłem i ja szczęścia próbować, żeby się do swoich przedrzeć, ale jakże zostawić tego starca ślepego, niedołężnego, który nikogo, prócz mnie, już nie miał na świecie? On mnie sam wyprawiał, wypędzał nieledwie, ale sumienie nie pozwalało; ukląkłem i gorąco westchnąłem do Matki Najświętszej, a potem cicho zbliżyłem się do namiotu Kubalima. Stary klęczał, płakał i modlił się, a krwawe łzy spływały po bladej i jak gdyby mchem porosłej twarzy jego. Patrzyłem i taki mnie zdjął żal, żem przypadł do staruszka i objąłem go za szyję.

Nad ranem Tatarzy wracać zaczęli, a wiedli ze sobą wielu jeńców, pochwytanych napowrót po drodze; niektórzy szczęśliwie zdołali się przemknąć do Kozaków, ale dużo poległo od strzał i kul, z obu stron ciskanych; między tymi i ów Ojciec Benedyktyn, który chciał do kraju się przedrzeć, żeby potem z okupem, w Polsce zebranym, wrócić dla oswobodzenia jeńców. Bóg wie, czy i mnie nie byłby ten sam los spotkał! Tymczasem jednak Tatarzy, znalazłszy nas obu z Kubalimem w namiocie, dziwili się mocno i odtąd nawet Edyga-bey łaskawszem okiem na mnie patrzył.

— Dobrześ zrobił, synu mój, żeś starca nie porzucił — odezwała się poważnie Bohowitynowa — i to ci pewno Bóg policzył.

— Kubalim żył jeszcze rok cały po tej przygodzie, ale słabł coraz więcej. Mnie się długo co noc zdawało, że słyszę wołania i krzyki, że łuna czerwona coraz bliżej; czasami śniło mi się, że płynę czajką po Dnieprze, a czasem, że u nóg waszych klęczę, matulu, a Stasiek przy nas i ojciec z krwawą karabelą. Jednego ranka już różowe słońca promyki wciskały się do namiotu, kiedy się zerwałem z łoża i patrzę, a Kubalim leży biały i już zimny, jak kamień; przypadłem cucić go, nie żył i tak cicho w nocy zmarł, żem nawet jęku jego nie słyszał, a przywykłem był zrywać się, jak tylko się poruszył i podawałem mu wody, albo poprawiałem posłanie; widać, że przed zgonem już nic nie cierpiał, a dusza jego cicho wymknęła się do lepszego świata. I tak zostałem znowu sam na ziemi...

VI.

Nowy gość. — Co to Budziak? — Ojciec Hyacynt z okupem.

Dzień po dniu płynął przy opowiadaniach Janka i już się ku jesieni miało, kiedy jednego popołudnia nadjechał niespodzianie z dwoma pachołkami siostrzeniec pana Gozdawy, który służył przy hetmanie Tarnowskim i chociaż wielce młody i gładki, niby dzieweczka, nieraz już oręża w obronie ojczyzny dobywał.

Jurko, tak go bowiem zwano, rodem był także z Rusi i wnet się zaprzyjaźnił wielce z Jankiem, którego przygody niezmiernie go zaciekawiły. Musiał tedy młody braniec powtarzać wiele szczegółów ze swej niewoli i udzielać rozmaitych wiadomości o kraju tatarskim o zwyczajach, urządzeniach i sprawach tamtejszych... Jurko, przy mądrym i dzielnym hetmanie ustawicznie bawiąc, nauczył się zajmować wszystkiem, co się tyczyło rzeczypospolitej.

— Powiedz mi — rzekł razu jednego do Janka — co to za nowi jacyś Tatarzy zjawili się teraz na Budziaku, pono gorsi jeszcze od innych? Straszne o nich rzeczy opowiadają...

— I prawdę mówią — odparł Janek — bo ci dają się nawet we znaki Tatarom krymskim; są to dzicy Nohajcy aż z nad Wołgi i Donu; nieraz oni napadali na Krym i uprowadzili w niewolę straszną żony i dzieci tamtejszych Tatarów, carowie zaś perekopscy żadnej rady sobie z nimi dać nie mogą. Wprawdzie jeszcze w roku 1510 car krymski zabrał im, jak mówią, ze 70.000 pogłowia rozmaitego z kobietami i dziećmi, ale też się za to nieraz zemścili.

Właśnie około tego czasu, kiedy zmarł mój stary Kubalim, gotowała się w Krymie straszna wyprawa na Nohajców. Pan mój, Edyga-bey, choć już w latach podeszły i wielce otyły, wybrał się też na wyprawę, rozgniewany srodze, bo mu Nohajcy zamordowali syna starszego, który był seraskierem (czyli wodzem) w jednej z ich hord i nie chcieli dać haraczu, czyli podatku, jaki zwykle carom krymskim składać mieli. Podobno, że hanowie Nohajscy udawali się do Polski, do miłościwego króla naszego, obiecując hołd, żeby im tylko dopomógł przeciw Krymowi, ale jakoś im się nie powiodło i Mengli-Girej poraziwszy ich srodze i wyrżnąwszy moc wielką, wielu też uprowadził do niewoli i osadził między Dnieprem a Dniestrem, aż ku Akermanowi. Trudno tę dzicz utrzymać w spokoju

i chętnie ją car krymski wypuszcza, jak stado wilków zgłodniałych, na nasze ziemie, ażeby się tam krwią i łupem nasyciła. Dzicz tę od razu poznać można i odróżnić od Tatarów krymskich, bo ci ostatni więcej po ludzku wyglądają. Bo też w tym Krymie dziwna mieszanina: Grecy, Włosi, Czerkiesi, Słowianie, Turcy, wreszcie Tatarzy, tak się z sobą poplątali od wieków, że już niewiadomem, do jakiego plemienia których z nich zaliczyć.

W czasie tej wyprawy krymskich Tatarów przeciw Nohajcom zjawił się we dworze Edygi-beya gość niespodziewany; był to ksiądz-zakonnik, aż z Wołynia przybyły, który się tu przedarł, niosąc wykup za jednego szlachcica, brańca, którego Edyga w niewoli trzymał. Zacny to człek być musiał, bo się właśni jego poddani składali, ażeby go z niewoli wykupić, a w wiosce czekała go żona z maleńkiem dzieckiem. Zwał się Korczak, zdaje mi się, człek był hartowny, bom nigdy skargi z ust jego nie słyszał. Niewolę i kalectwo (bo mu rękę odrąbano) znosił cierpliwie, ale gdy zobaczył znajomego sobie księdza ze stron rodzinnych, padł jak nieżywy na ziemię, a potem łzami się zalał. Nie można jednak było wypuścić go, dopóki Edyga z wyprawy nie wróci i tak zeszło miesięcy kilka, a tymczasem kapłan ów, człek wielce mądry i poczciwy, przebywał ciągle między brańcami. Jednych umacniał w Wierze świętej, innych pocieszał, obiecując się o wykup postarać, a mnie polubiwszy, nauczał rozmaitych rzeczy.

Z jego to ust dowiedziałem się o ludach, które dawniej ziemie te zamieszkiwały. Pięknemi słowy malował mi dzieje dawnych Greków, opowiadał ich podania czyli myty, bohaterskie ich walki, wyprawy morskie, wśród których nieraz zabłądzili na tę Taurydę, którą my dziś Krymem zowiemy. Prawił o Rzymianinach i ich pięknych czynach, a mnie, słuchając tego, rosło serce w piersi i pragnąłem choćby kosztem życia mojego, dorównać któremu z tych szlachetnych bohaterów, a dusza mi się rwała do ojczyzny mojej. Myślałem sobie, że i u nas żyją bohaterowie, którzy krew przelewają w obronie ojczystej ziemi, a czułem już w sobie dosyć siły, żeby miecz udźwignąć. Ojciec Hyacent, bo tak się nasz zakonnik nazywał, obiecywał, pamiętać i o mnie za powrotem do kraju; o ucieczce zaś nie było co i myśleć, bo ta się nigdy prawie nie udawała.

Tymczasem nadjechał Edyga z hufcem swoim, znużony srodze wyprawą i zły, prócz koni i owiec, które Nohajcom zabrał. Ten chciwiej zaczął się targować z kapłanem o okup za szlachcica i nie chciał przyjąć kilku tysięcy czerwonych złotych, że to za mało. Zacny ksiądz, który przyrzekł był wiernym kmiotkom i nieszczęśliwej żonie Korczaka, że nie wróci bez pana, ofiarował się zostać na jego miejscu w niewoli, dopóki nie zbierze się reszta pieniędzy na wykup. Nie chciał tej ofiary przyjmować szlachcic, ale wreszcie dał się nakłonić i wyruszył w drogę, ale niełatwą było rzeczą doczekać się reszty wykupu, gdyż podróż na Krym, z tysiącem jest połączona niebezpieczeństw, a Dzikie Pola i Perekop gęsto zasiane bywają gromadami Nohajców, którzy nawet spokojnego posła nie poszanują i nie znają się na żadnych glejtach czyli listach bezpieczeństwa, jakieby ci mogli mieć przy sobie. Dla mnie obecność uczonego zakonnika, wielkiem była dobrodziejstwem; słuchałem go a umysł mój się rozjaśniał i coraz mocniej, zda mi się, miłowałem Boga i ojczyznę.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Jakie jest serce matki albo kiedy anioł płakał.

Była biedna gdowa Sobuśka i syna miała jednego Sobka ,na którego nigdy inaczej nie wołała, tylko Sobuś i nikt go też inaczej we wsi nie nazwał. Sobuś, Sobuś, a Sobuś był gorszy psa. Złe to było dziecko, a kiedy zaczął parobczyć, zeźlił się, jak pies. A najgorszy był dla matki. Nigdy jej dobrego słowa nie powiedział, ba, ciągiem przezywał, popychał, poszturkiwał, czasem zbił na kwaśne jabłko, a wymagał od niej roboty wszeliniejakiej koło siebie, sam robiąc tyle, co nic. Ledwie tam oborał, obsiał i obkosił ten kąseczek pola, co mieli, a resztę: rób matka! Nieraz piętą potrącił, że nie dość fryśka. A to niebożątko obstarne już było, kopę lat i siedm miało, to taka ci wartka nie będzie, bo nie da rady. Ale się to nie użaliło, nie uskarżyło nigdy, ino zawsze „Sobuś, Sobuś, mój Sobuś“, a od pracy aż się zgibała we dwoje.

Sobek się nie żenił; jedno dziewki się go bały, nierade go widziały skróś tej złości dla matki najwięcej, drugie, że i on sam nie bardzo do tego ciągnął. Ino se chciał kucharkę wziąć, coby go oprała i jeść ugotowała. I upatrzył se taką jedną i ona się zgodziła, ale se wtedy pomyślał: po co mi teraz matka w chałupie? Na sto djabłów! Stara jest, ledwie łazi, ledwie robi. Kaśka zrobi wszystko, jesce nie telo lepiej, a i wygodę będę z nią miał. Poco mam darmozjada żywić? Wyzenem matke do pola, niek ta idzie, ka kce!

Jaki Sobek, taka Kaśka. I ona mu też mówiła: wyzeń matcysko, wyzeń matcysko... Co ci ś-niej?! Ino zre! Bo chciała być sama ino w chałupie ze Sobkiem, żeby jej nikt nie gawędził po izbie, a co naganobi, żeby tylko jej było. W jedną noc, w zimie to było, przed Gody, Sobek nie lega na pościel nic, tylko siedzi na ławie. Matka se upościeliła, jako ta mogła, na ziemi pod piecem, bo tylko jedna pościel w chałupie była i na niej Sobek spawał; leży cichutko, a modli się, bo widzi — kaganiec się świecił — że Sobek zły. Coz bedzie, coz bedzie?... — szepce sobie w duszy, bo gorszy jeszcze był teraz, niźli przedtem.

Wtem Sobek mówi z ławy:

— Matka! wstawaj!

Zbiera się niebożątko, bo się ani spytać nie śmiała: na co — wstaje.

— Warcej!

— Zaraz, zaraz, Sobusicku... Cos kces?

— Przinieście wody. Pić mi sie kce.

— Je dy jest przecie w konewce.

— Nima! — zaśmiał się Sobek i kopnął konewkę, że aż na matkę chlusła. Jest je, co? — mówi.

Matka się zapaską odziała, bierze konewkę za ucho.

Zimno było, co cud, a ślizgo; po wodę trza było ku potoku iść, dość oddalno. Przyniosła.

Ledwo, że postawiła koło ławy, Sobek kopnął drugi raz w konewkę i wodę całą wychlusnął.

Przerażona popatrzała na niego matka.

— Brudna beła, nie cysta. Przinieście jesce raz.

Nic nie powiedziała, przyniosła, a on trzeci raz to samo. W izbie już pełno wody się nalało, że Sobek na ławie nogi wyciągnął, a matka we wodzie boso stała.

— I ta beła brudna... Icie matka jesce po inom...

— Sobuś, dyć hań zimno... ja boske...

— To się matko obuj!

— Jakoz się obujem, synku ostomilsy? Kyrpcy nimom nijakik, a te kapcątka stare, cok je przecie jakosi pomiędzy chałupy nasła i jako tako pozesywała, mokre całe — we wodzie lezom... Bo on jej nie kupił nigdy nic. Co miała, to albo ze starości leciało z niej,

albo kto darował, bo mu się jej luto stało, albo znalazła jak i te kapce.

— To idź matko boske — mówi Sobek.

— Sobuś...

— To sie wam jus ani telo posługować nie kce?! — krzyknął Sobek. — A zryć tobyście zarli?! Co! Hybaj matka po wode! W te razy!

— A nie oźlejes zaś znowa?

— A jak oźlejem, to co? Cy haw nie pan? No?!

I jeszcze raz poszła i jeszcze raz przyniosła wody i znowu on konewkę na izbę wylał.

— Samo taka, jak i hańty, brudna. Matka, icie po wodę!

Wtedy stara Sobuśka, trzęsąca się cała od mrozu, padła przed nim na kolana, na wodę na izbie nie zważając, bo już wiedziała, że do czegoś złego zamierza. A on ją odtrącił od siebie nogą i mówi:

— Idziecie po wode? Nie?!

— Sobuś!

— Ja wiem, zek Sobek i jako mie wołajom! — wrzasnął Sobek.

— Nie potrzebujecie mi syćko przybacować! A kie sie wam posługiwać nie kce, to do pola!

— Sobuś!...

— Do pola, mówiem! Mnie tu takik łachmandów nie trza, co ś nik nijakiej wygody niema. Przidzie Kaśka od Kurosa, to będzie. A wy sie bierzcie z izby, prec!

— Sobuś, dej noc, zimno...

— Do pola!

— Umarznem...

— Ciepliście, kie we wodzie klęcycie.

— Dziecko moje! Wykarmiłak cie...

— Ba!

— Temi piersiami...

— A jakiemiście kcieli?! Do pola!

— To mnie jus tak wyganias?

— Tak!

— A jutro mi przyjść pozwolis?

Nigda! Przidzie Kaśka! Darmozjadów mi nie trza.

— To sie jus mam we świecie stracić?

— Strać sie matka, ka chces!

Objęła mu nogi rękami i usta do kolan przycisnąć chciała, ale on ją kopnął, że aż z jękiem na podłogę, w tę wodę zimną na izbie wznak padła. Bybały może zemdlała, żeby nie ta woda właśnie.

Poznała, że tu śpasów nimas. Pozbierała, co tam miała, a było tego, jak pięść, we węzełek, przychodzi ku Sobkowi, co ciągiem na ławie z wyciągniętemi nogami siedział, i powiada:

— Daj ze mi się pobośkać, synecku mój, hoć mie jus tak nie rad widzisz... dziecko moje...

Ale Sobek jak się siepnie w tył, jak wrzaśnie:

— Mnie tu wasego boškania nie trza! Przidzie haw Kaśka od Kurosa, to mie uboška, kielo mi sie be kciało! Do pola, dziadulo zatracona! Bo jak nie?!

I złapał za garnek odrutowany, co na stole stał.

Wyszła Sobuśka cichutko w pole, tylko się ode drzwi jeszcze popatrzyła na Sobka i uśmiechnęła do niego przez łzy.

Ciemno, kapce, co je wdziała, mokruteńkie, zimno, nie wie, gdzie iść.

— Pudem ka, na hałupy, zapukam do okna, moze mnie przecie puscom nie tu, to ka inendej — myśli.

Bajtoć! Ze tobyk musiała pedzić, ze mnie Sobuś wygnał z domu, toby na niego pomstowali, a to przecie dziecko...

Pudem do światu, stracem sie...

Pan Bóg dobry, to mi sie ta nie da długo plątać pomiendzy ludziami...

Idzie, kielza po lodzie, w śniegu grzęźnie, idzie...

A Sobkowa chałupa na boku stała, na łące i bardzo daleko do niej widać było. Toż to obejrzy się Sobuśka, widzi, w chałupie jasno w oknie.

— Nie śpi, kagańca nie zadubnon — myśli.

Nie śpi dziecko... I pić sie mu kce, a wody nijakiej nima... Sam po nie nie pudzie, bo zimno i ćma... A pić sie mu kce... Kiebyk mu jom przyniesła... Jest putnia na oborze, wypłucem cysto pieknie, postawiem przi dźwirzak, dźwirze ino tyle uhylem, co mu powiem: synku, mas wode, jakbyś pić kciał — pude. Nie bede ta jus długo kusić świata, nie...

I jak myśli, tak robi. Wróciła, do obory cichutko weszła, putnię do potoku zaniosła, raz, drugi i trzeci wypłukała i czystej wody Sobkowi pod drzwi przyniosła i wtedy padła przy niej martwa.

I wtedy to wej janioł, co po jej duse przisel, płakał. *Kazimierz Tetmajer.*

Ruiny zamku w Krajowicach.

Na prawym brzegu rzeki Jasiołki, przy gościńcu prowadzącym z Jasła do Pilzna, w oddaleniu 4 klm. od Jasła, znajduje się wioska Krajowice. W północnej stronie wioski wznosi się potężna, z 3 stron trudnodostępna, stroma góra, na szczycie której znajdują się ruiny niegdyś obronnego zamku. Zamek ten zbudowany w w. XIV. w czasach panowania Kazimierza Wielkiego, przetrwał do czasów napadu Szwedów i Rakoczego na Polskę w w. XVII. O jego dawnych dziejach niema żadnej wiadomości i nie był on widocznie świadkiem doniosłych wypadków historycznych. Z widocznych do dziś fundamentów zamku, wywnioskować można, że nie był on zbyt obszerny i nie posiadał obszernego dziedzińca, zato z olbrzymich bloków kamiennych, luźno dziś w obrębie zamku leżących, posądzić go można, że mógł być obronny. Od strony zachodniej w pobliżu bramy wjazdowej na zamek, znajdują się resztki okrągłej baszty, pokrytej niezliczonem mnóstwem podpisów, bądźto ołówkiem lub rytych rylcem na kamieniu. Od strony południowo-zachodniej opada góra zamkowa tarasowato ku gościńcowi do Kołaczyc i Jasiołki, pokryta młodym lasem. W porze letniej uwija się tu mnóstwo studentów z Jasła, łapiących motyle i owady do celów naukowych.

Krajowice ze swem „Podzamczem" są ulubionem miejscem wycieczek i majówek dziatwy szkolnej, hasającej swobodnie po bujnych trawnikach. Pewnego razu podczas majówki, wyszedł z wioski stary, siwy gospodarz i wszczął z uczestnikami tejże rozmowę. Zapytany następnie, czy nie mógłby opowiedzieć coś z historji tego zamku, odpowiedział, że chociaż tu na tem „Podzamczu" od dziecka wychowany, nie może nic o nim opowiedzieć, tylko tyle, co słyszał jak dziadek jego opowiadał, że dawniej na zamku straszyło. Mianowicie miała się pokazywać o północy wysoka osoba w bieli, na miejscu dawnych pokoji, podobno córka pana zamku, to znów widywano ją w jasne noce księżycowe jadącą na białym koniu wokoło zamku, teraz jednak nic zgoła nie widać, a nawet rzadko kiedy odezwie się sowa lub puszczyk w ruinach. Żadne inne pamiątki z zamku nie zostały. Ładny widok dostarcza maleńki wodospad, oddalony od Podzamcza około pół klm. na wschód, spadający z około 3 m. wysokości, służy on jako wyborny tusz dla wycieczkowców w upalne dni letnie. Lasy dostarczają obficie poziomek, malin i grzybów, na wysokich zaś starych jodłach w obrębie dawnego zamku rosnących napotyka się dosyć często pasożytną jemiołę. *Piotr Wenc.*

POŚWIĘCENIE „ZYGMUNTA".



Na wieży katedry krakowskiej wisi dzwon, Zygmuntem zwany, którego głos odzywa się tylko w największe uroczystości kościelne i narodowe. Jest to dzwon-olbrzym, a głos jego posiada jakiś urok nadzwyczajny, że słuchaćby go można bez znużenia dniami całymi. Został on ulany z armat zdobytych na Wołochach za Zygmunta I, zwanego Starym i jego imieniem ochrzczony. Na obrazku naszym widzimy chrzest owego dzwonu, który się odbył w roku 1520. Pod baldachimem stoi król Zygmunt I, otoczony najwyższymi dostojnikami państwa. Po lewej ręce widzimy biskupa odczytującego z księgi stosowne modlitwy i błogosławiącego dzwon, przygotowany już do wyciągnięcia na wieżę, na której się po dziś dzień znajduje. Gdy tylko biskup skończy ostatnie modlitwy, dzwon wzniesie się ku górze i zawiśnie na wieży, aby przez długie wieki głosić dawną chwałę i potęgę Polski. Na środku rusztowania stoi mężczyzna, który kieruje wyciąganiem dzwonu na swe przyszłe stanowisko. Można sobie wyobrazić, jakiej siły trzeba było, aby taki ciężar na wieżę wyciągnąć.

MACIEK BZDURA GADA:

I jakosik ta te świeta —Boże odpuść — mineły, ale nie mineły tak, jakem sie po nich spodziewał. Mnie sie widziało, ze jak świeta przyjdą i jegomość rozmaite smakołyki w kościele poświecą, to bedzie sie radowała nietylko dusa, ale i ciało. A tu temcasem myślenie swoją drogą, a smutna prawda swoją. Coprawda, to dusa radowała sie okrutecnie! Jagem posed w Wielką Sobote na roraty i zuźrałem po całem kościele porozkładanych tyle jajców, kiełbas, masła i placków, to z wielgaśnej radości omal cała dusza ze mnie nie uleciała. A najbardziej w nosie kręciło to świńskie ścirwo i tak za jezor brało, ze nicem z geby na ziemie nie ucik. Ale przecie rozum od jezyka niedaleko, to go tez jako tako utrzymać sie dało i choć wyłaził na brode i ślinił ją bezustanku, to przeciez z geby nie ucik i dotrwał w niej do końca. A dotrwał, bo mu rozum powiadał, ze sobota sobotą i całą przepościć trzeba, a potem Poniezus złozył umyślnie dwa świeta do kupy, zeby sie ludziska naćkali, co ino w nich wlizie.

Ale Poniezus swoje, a gospodyni swoje! Poniezus dał dwa świeta, a jak przyszło do jedzenia, to mi gospodyni usckneli taką ociupinke, ze i na godzine nie wystarcyło. A jesce powiedzieli:

— Uwazaj, Maciuś, bo to mas na obadwa dni, zebyś wszyćkiego naraz nie spucował!

Dobrze jem było powiedzieć, ale mnie trudniej wykonać. I nie wiem, cyby sie znalaz na świecie taki zamek, na któryby mozna było zamknąć świecone w taki urocysty dzień, jak Wielganoc. I zeby to choć gospodyni byli dali tyle, co potrza! A oni ciupneli osiem jajek i to na... dwa dni! — łokietek kiełbasy... takze na dwa dni! — bochenek chleba, no juści na... dwa dni! — osełke masła — ocywiście równiez na dwa dni!!! Ha! — myśle se —gospodyni kazą, trzeba ich słuchać! Rozdzieliłem se te dary Boskie na dwie połowy i postanowiłem, ze wele rozkazu jedna połowa bedzie na niedziele, a druga na poniedziałek. Ale nie wiedziałem, która ma być na niedziele, a która na poniedziałek? Zreśtą — myśle se — cy ta, cy tamta, wszyćko jedno, bo one sie tam wreście w miejscu przeznacenia obie razem spotkają. Za kwadransik byłem z jedną połową zupełnie fertig. Poźrałem na drugą i zal mi sie jej zrobiło. I cemuz — powiadam — ta pirsa juz se teraz, jak jaka hrabina w cieple spocywa, a ta druga, jakby przezemnie pogardzona na stole lezy i smetne ocy za tamtą posyła. Ha! trzeba przynajmniej tej pirsej przesłać katolickie pozdrowienie. Niech sie uciesy bidaka.

I nie wiele myśląc, posłałem do tamtej hrabionki jedno jajko z pozdrowieniem. A najgorzej, jak powiadają starzy ludzie zacąć. Jak ino kto zacnie to i zrobi. I zrobiło sie. Za drugi kwadransik juz obie połówecki we środku mojego ciepła tuliły sie do siebie, jak dwie turkawecki. A jakem se o nich pomyśloł, tom sie omalo nie rozpłakoł z wielkiego ukontetowania, zem jem taką bagatelą tyle radości sprawił. Zreśtą i stare ksiegi powiadają: Co mas zrobić jutro, to zrób dzisiaj, wiec tez i ja com miał zrobić z mojem świeconem jutro, tom zrobił dzisiaj.

Jagem wsuwał ostatnią ociupinke do wanciocha, przyśli gospodyni i padają:

— A cóześ ty Maciuś najlepsego ucynił? Taześ ty zezar wszyćko, coś miał na dziś i na jutro!

— Nie turbujcie sie pani matko! Jutro nic nie bedzie potrza, bo powiadał prefesur w skole, jak kto zaduzo zji, to potem choruje i z chorości jeść mu sie nie chce. Latego tez i ja sie nie smuce, bo jagem zjadł zaduzo, to mnie jutro bedzie brzuch bolał i do zadnego jedzenia nie bede miał ochoty, a jak mnie brzuch nie bedzie bolał, to bedzie oznaką, ze dziś nie było zaduzo, ino w sam raz i jutro znowu dostane.

— Dostanies kamienia! — pedzieli gospodyni na to i odwrócili sie do mnie lewą stroną twarzy i pośli za stodołe, bo jem sie bardzo spiesyło.

I taka to sprawiedliwość na świecie. Prefesur w skole darmo ucy, bo choćby ciek chciał najlepiej, to byle baba jego ućciwe zamiary pokrzyzuje. Latego tez moje zycie w Wielgi Poniedziałek było okrutecnie smutne. I gdyby nie było sumienie rusyło Kaśki na wnątrzu, to kto wie, cybym z głodu był do dziś dnia dozył. Zlitowała sie nademną, pokraka, i juz na śniadanie przyniesła mi ciarapke zimniaków i baniacek baszcu, na obiad dała donicke kapusty i znowu baniacek baszcu, a na wiecór i gospodyni i gospodarz i Kaśka pochorowali sie, tom se juz sam wygospodarzył z komory bochenecek chleba, którym do imienia spucował, popiwsy garncem mleka od gosposinej jałówki.

I tak minęły te świeta składnie na wieksą chwałe Bożą i pozytek Ojcyzny! Na chwałe Bożą, bo jakbym był umar, tobym sie juz modlić ni mógł, a na pozytek Ojcyzny, bo wszyćko, co człowiek robi, powinno iść na pozytek Ojcyzny.

Przestroga na drogę życia!

Gdy stawisz krok pierwszy w tem życia nicości,
I wzrokiem obejmiesz, która dla cię droga,
Wszak nie ufaj sobie i swojej zdolności,
Byś snać nie zapomniał postąpić bez Boga.

O bo to po drodze są głogi i ciernie,
Przez które człowiek, chcąc nie chcąc, przechodzi,
Świat gotów z tobą poigrać niezmiernie,
Ale utrapień twoich nigdy nie osłodzi.

Nadzieja twoja w tem życiu tułaczem
Jedynie w Bogu ufać pewno może,
Sam się też zgoła nie masz oprzeć na czem,
Jeżeli wyzujesz z serca prawdy Boże.

Więc miej na myśli, byś bez onej tarczy
Ważył się ruszyć byś na dobro wielu
Wówczas i szczęścia i siły ci starczy,
A jakoś zamyślił, toć dosięgniesz celu.

Władek z pod lasu
w Przyszowy.

LUDWIK ST. UNSING.

(Przedruk wzbroniony).

Getsemane.

Powieść biblijna.

II.

Wyrok Ponckiego Piłata.

Tymczasem Poncjus Pilatus dziwne miał odwiedziny.

Ledwie mógł przyjść do siebie z ogromnego zdumienia. Kiedy bowiem chłodził ciało w cieniu drzew, zjawił się przed nim, zamordowany z rozkazu galilejskiego tetrarchy we własnej osobie mistrz Łazarz.

Poncjus przetarł oczy i milczał. Zmory mnie nawiedzają — pomyślał. Wszakżem uczcił pogrzeb centurją wojska, więc pochowan jest Łazarz! Ale przybyły uśmiechnął się serdecznie, nawet przemówił, zatem marą być nie mógł.

— Tyżeśto doprawdy mój mistrzu? — zapytał Poncjus — i jął obmacywać przybysza, z taką mieszaniną uczuć, jakiej doznają tylko dzieci, albo obłąkani. — Tyżeśto?

— Ja, wasza dostojność!



Barabbas przed Piłatem.

— To jakże? Żywcem pochowan? Jakże to? Azali miałeś moc wydobycia się z grobu?

Budowniczy jął opisywać przejścia swych ostatnich czasów, a Poncjus słuchał i słuchał. Budowała go ta historja.

— Więc połamane miałeś kości, umarłeś i gniłeś! „Ten" cię wskrzesił?! Na bogi, cóże to za człowiek!

— I tetrarcha uzdrowion, a córka jego to moja żona, wasza dostojność. Życie jest tak piękne, tak bardzo piękne dziś z nią, jak przedtem twarde było i straszne... Zadumał się mistrz wciągając w piersi to wonne niezapomniane powietrze.

— Tu wtedy stałem, o tu... owej nocy. Całowałbym każdy kroczek, każde ziarenko piasku, te myśli kocham, ten piękny ogród i waszą dostojność za to, że to wasze! I musiałem tu przyjść drugi raz narodzon, a dzieło swoje skończę.

— Ten posąg zapewne? Stoi tam wszystko jak było, nawet rylce znajdziesz nieporuszone.

Rzucił się mistrz w kierunku portyku, Poncjusz ledwie za nim mógł zdążyć. Uszanował tę gorączkę człowieka będącego już w grobie.

Budowniczy oparł się o fundament posągu i zatopił się we wspomnieniach niczego nie widząc i nie czując pozatem, podczas gdy Poncjus z założonemi rękoma śledził tę zadumę. Wreszcie ocknął się, a zobaczywszy klomb żonkili, głaskał miłośnie te kwiaty piękne, niejedną łzę w kielichy uroniwszy.

— Godzienże ja jestem tego szczęścia? Tyle szczęścia? Wasza dostojność: Tyle szczęścia!

Ale Poncjus nie mógł całkiem zrozumieć tych uniesień, nie był bowiem nigdy szczęśliwym, a zawsze żołnierzem w twardej służbie cesarza — nie miał duszy artysty. Spiż i krew oto hasła jego żołnierskiego powołania. Wreszcie przemówił: — Ty umiesz kochać, a ja nienawidzić. Nienawidzę waszego żydowstwa, tych wiecznych knowań podziemnych, i gdybym mógł, to... kamień na kamieniu nie zostałby w tej krainie lisów a tchórzów!

— Nie o nienawiści nam myśleć wasza dostojność, serce rzecz piękniejsza. Pięknym jest Izrael serdeczny.

— Ach! — westchnął Piłat — Izreal serdeczny, to jak tygrys nie żarłoczny. Już snać o bolu połamanych kości zapomniałeś.

— Nie zapomniałem, ale przebaczyłem. Inaczej musiałbym cierpieć dalej i we własnej goryczy się zatapiać... pocóż? Mam teraz dobrego ojca ze swojego wroga i najlepszą żonę z jego córki. Sprawy ułożyły się wedle serca, a wasza dostojność chciałbyś zburzyć tę niwę kwitnącą, by nienawiści uczynić zadość?

— Chcę, abyś to tak zrozumiał, że trzeba burzyć, aby samemu nie być zburzonym. Nad dziełem twojego wskrzeszenia uniosłem się zbytecznie, albowiem po raz drugi cię uśmiercą, ci, co burzą podziemnie. Nie na pojedynczem wstawaniu z martwych rzecz polega, ale na tem, by uśmiercić krety podkopujące inny spokojny i uczciwie obmyślony byt. Twój byt był takim a czemuż cię zabili?

— Zabił mnie brak serca, ciemnota. „Ten" wiedział o tem, a za pomocą tego cudu porwał masy i wzbudził serca!

— Eh, to zbyt wielki trud, za małą korzyść — upierał się Poncjus.

— Kiedy nasze wierzenia nie ograniczają się wyłącznie do żywotnych spraw tego świata. Nie chodzi o jakiś uregulowany, spokojny byt, ale o poświęcenie i zasługi na drodze cierpień dla uzyskania żywota wiecznego. „Ten" dlatego mnie wskrzesił, aby wskazać potęgę zaświetną, która wszystko może i aby myśląc o tej potędze, odwrócić oczy od spraw tego świata, kryjącego w sobie podstęp i zahłaństwo. Bo ludzkie wojny i gonitwa za czemś świeckiem jest złudą, marnością, a wiedzie ku zatraceniu duszy. Tak należy rozumieć „Tego".

— Zatem czemuż tak nie rozumieją wasi kapłani przedewszystkiem? Tylko rządzą się jak wiatr po polu, cudzą krzywdą łowiąc majętności? Trzeba poprzez serce zaglądnąć rozumem, mój mistrzu, a wtedy ujrzysz to, co ja widzę.

— I wasza dostojność nie co innego widzi, jeno w wyborze środków walki jest różnica. „Ten" dał z siebie przykład jako iść należy i cierpliwie czekać, pracując, gdy światło przebije ciemności... Tego przykładu nikt z duszy mi nie wyrwie, bo jest słuszny; trudności przebijane choćby za cenę życia składają się na zasługi, które policzy Bóg.

— Ha! Niechże i tak będzie, widać z innej gliny ulepion, inaczej sprawy sądzisz: Ty będziesz kochać, a ja nienawidzić!

Tymczasem przeszli przez triklinjum. Poncjus polecił nakryć do stołu, aby uczcić gościa, który niedawno mieszkał już w grobie. Imponowało mu to niezmiernie. Jak długo żyje wśród tej pospolitej gawiedzi i kiedyś, tam nad Tybrem — coś podobnego nie widział. Wniesiono wino, owoce i zimne jakieś mięsiwo szpikowane orzechami.

— Nawet gdybym chciał popróbować zasady wasze w czyn wprowadzić, to i tak nie mogę, gdyż jestem sługą prawa — wyjawił Poncjus nurtującą go myśl. A prawo jest twarde, niema miłosierdzia: ząb za ząb, toż zasada i waszego prawa.

— Tak, starego. „Ten" uczy inaczej: Kto na ciebie kamieniem, ty na niego chlebem. Bo to jest budujące i uczy przebaczenia, a wasze prawo sieje strach, zbrodni nie usuwa, a wzmaga. Dobry czyn, dobre sprawia skutki, a zemsta, zemstę rodzi, to też prawda.

— Ależ mój przjacielu! — krzyknął Piłat. — Przebaczyłbyś mi, gdybym zabił twoją ubóstwianą żonę? Albo porwał ci ją przynajmniej? A jakżeż ja mogę przebaczyć, stojąc na straży prawa i mając potęgę, to rycie podemną waszego Annasza?! Mam go ugłaskać, zato, że śle posły do cesarza i wyzyskuje jego łatwowierność przeciw mnie? Że wydziera mi władzę z rąk i niewolnikiem robi we własnym domu? Podstępną sprawą?! No, mistrzu, są na świecie rzeczy, których ty ze swego punktu nie potrafisz ocenić, inaczej, gdy do uszu ci się nie naleje...

— Podstęp nie jest trwałą podstawą do utrzymania się we władzy, są tego przykłady — bronił się Łazarz.

— No tak, ale odpowiadaj, cobyś robił na mojem miejscu będąc, mając twardą prawdę naokoło siebie, a żadnego widoku na jakiś cud?

— Nienawiścią nie zapobiegłbym złemu w każdym razie... a cesarz będzie raz zmuszonym do zbadania sprawy na miejscu, to wtedy oczyścić się nie będzie trudno waszej dostojności...

Wszedł centurjon. Poncjus zwrócił głowę w kierunku przybyłego.

— Cóż tam nowego?

— Wyrok sądu „Siedmdziesięciu jeden" do zatwierdzenia. Więzień dostarczony do dyspozycji waszej dostojności, czeka pod strażą dziesiętnika w krużganku. Namiestnik odebrał pergamin, czytając.

— Dziesiętnik tu! — rozkazał i uśmiechnął się. Wyrok sprawił mu widoczne zadowolenie. — Jakiś Barabbas zabił Syryjczyka i obrabował go z tkanin — zwrócił się Poncjus do Łazarza. Wydano wyrok śmierci obostrzony chłostą, za to, że tenże Barabbas targnął się na powagę arcykapłana i króla. Ja ten wyrok mam zatwierdzić, kazać schłostać skazanego skorpjonem i tak posiekanego, lecz żywego dostawić do domu kamienowania celem złamania kręgosłupa. Widzisz, tak wygląda zemsta z nawiązką!

Zjawił się dziesiętnik, wiodąc na sznurze ofiarę wyroku. Poncjus jął chodzić po komnacie i wpatrywać się w kosmatego łotra.

— Byłeś na sądzie? — zapytał dziesiętnika.

— Tak, wasza dostojność.

— Opowiadaj co tam zaszło!

— Zbrodzień wrzeszczał, że ma być ukarany śmiercią za zabite bydlę, a niema być ukarany śmiercią arcykapłan za kradzież dziesięciu, ani król za uprowadzenie cudzej żony. Obaj są winni śmierci, wedle pisma jakie odczytali doktorowie obecni na sądzie — mówił dziesiętnik.

— A co? — zwrócił się Poncjus do Łazarza. — Gdybyś był na mojem miejscu, cóżbyś uczynił?

Łazarz zdębiał. Annoraim spełnili swój obowiązek cytując prawo na sądzie. To prawo nie robiło wyjątków, ale jednako karało przestępców: pospolitego zbrodniarza i niegodnego arcykapłana, jak i króla. Tymczasem za tych obu, za parę słów prawdy, taka straszna kara spaść ma na jednego, gdy reszta chodzi bezkarnie. Nie było tajnem, że Annasz dziesięciny pobierał, ani to, że król porwał cudzą żonę...

Budowniczy czuł, że tak być nie powinno i równocześnie, do osądzenia tej sprawy jest za słaby. Motywy jakiemi się kieruje serce, są powierzchowne; widać Chrystus sięgnął głębiej, a on jeszcze jest za słaby, aby to wszystko ogarnąć i taki wydać wyrok, któryby był wszechstronnie sprawiedliwy. Tak. Budowniczy pojął w tym przypadkowem zderzeniu się nieposzanowania prawa przez dostojników, równocześnie karzących tak strasznie ciemne, kudłate indywidjum, na równi bliźnim będące — że jest za słaby.

— Nie mnie o tem wyrokować — przyznał się szczerze.

— No, ale gdybyś musiał będąc na mojem miejscu? — upierał się namiestnik.

Łazarz milczał.

— Popełniłbyś niesprawiedliwość, powiadam ci! Ale nie będę cię objaśniał, boś nie jest na mojem miejscu i nie wiesz, co to znaczy: sprawiedliwym być wedle tego jak jest!

Zamilkł namiestnik, wciąż przechadzając się nerwowo po triklinjum i patrząc w twarz łotra.

Nagle zatrzymał się przy nim, we dwa palce ujął trochę kudeł jego brody rozwichrzonej i rzekł:

— Słuchaj, ty zbóju, wagabundo! Chłostę ci daruruję rozumiesz! Póki akta sprawy nie będą w moich rękach wyroku nie zatwierdzę — zwrócił się do dziesiętnika. — Więźnia pod klucz do wieży Pseplunusa, sznury zdjąć, żywić regularnie!

III.

Znamiona roboty w podziemiu.

Zmierzch wypełzł na mury Jerozolimy, gdy budowniczy opuścił pałac Poncjusa. Czuł się mocno zaskoczony wyrokiem, tymi szybkimi orjentacjami pogańskiego mocarza i jego logiką. Powiedział sobie, że żył w upojeniu, w krainie serca i raju, ale tamten znał lepiej prawdy życia. Rozbierała go ciekawość, coby też Chrystus w tej kwestji orzekł i postanowił przy sposobności rozsnuć przed nim sprawę. Tymczasem zajęły go wspomnienia i spłoszyły poprzednie myśli. Szedł temiż ulicami jak wówczas w te rozpaczne dnie włóczęgi po utracie szczęścia, spoglądając w zadumie na pałac Annasza i Zarabatelowe wille. Teraz już mu nie grozi żadne niebezpieczeństwo ze strony prawa, śmierć bowiem zniosła i zmazała wszelkie klątwy, a zmartwychwstały jest już kim innym, nieznanym. Wszystko przeszło i skończyło się, tylko została w sercu miłość przeogromna i wdzięczność. Nawet rozbójnika Barabbasa byłby puścił wolno i wszystkich zbrodniarzy, pod wpływem tegoż uczucia, lub przynajmniej złagodziłby ich los, bo w gruncie, to ludzie ciemni i zasługujący raczej na litość... A oto winnica millońska, której właścicielem jest dziś księgarz Kaper, niepojętym sposobem. Bo arcykapłan tę winnicę cenił wysoko, a wyżej, tylko bezpieczeństwo władzy nad zakonem. Zaliżby księgarz objął rolę jaką jemu kiedyś przeznaczono? Był jednak spokojny o los Chrystusa, bo w Jerozolimie przycichło trochę; cud wskrzeszenia i uzdrowienie tetrarchy galilejskiego, męża potężnego zapewniało wszelkie bezpieczeństwo. Teść pracował w istocie nad tem bardzo i ma

zapewnienie króla Heroda, że Nazarejczyk przez sam czyn uzdrowienia tak znakomitego męża, zyskał uznanie najwyższej Rady i opiekę prawa. Rozmyślając o tem, przeszedł drugi mur miasta, kierując się ku bramie Efraima, przez którą wiodła droga do Betanji. Mdło świeciły gwiazdy na niebie z powodu zachmurzenia i mgły, która ze skalnych szczytów zsuwała się w doliny. Budowniczy zszedł ze ścieżki chcąc skrócić drogę na przełaj, po części dlatego, aby nie stykać się z ludźmi wracającymi do miasta. Wołał samotność i swe myśli nowe, tak mile oplatające i porywające całą duszę.

On wskrzeszony! On zmartwychwstały! Zali jest ktoś na świecie, aby ocenił to należycie? Jak przez mgłę przypominały mu się ostatnie chwile konania: ciało było bezwładne, ale wyzwalało duszę promienną. Martwiejące oczy widziały ją w postaci olbrzymiego anioła mogącego zamknąć w sobie cały wszechświat. Ziemia ze skarbami swemi, wobec tej duszy jaśniejącej, była jak mały orzeszek w rękach dziecka i jak zaledwie podpora pod nogami, nawet krucha, przedstawiająca pewne niebezpieczeństwo upadku w bezmiary. Ten anioł widział światy inne, wobec których „orzeszek" był nicością, jak plewa ziarna zbożowego, jak skorupa rozbitej amfory. Widok tych horyzontów niezmierzonych o blaskach iskrzących łagodnie, harmonizował przedziwnie z ową wyzwoloną duszą i zlewał się w jeden subtelny czar, w jedność błogą na którą niema wyrazu. Pojęcie ludzkie jest tylko kropelką w oceanie tylu wdzięków, dających się ogarnąć duchem wyzwolonym z więzienia ciała, które jest liściem pożółkłym. Ten anioł zapragnął widzieć twórcę tych rozkoszy i zdawało mu się, że na mgnienie zobaczył, lecz opisać niepodobna. Żaden wyraz nie nadaje się na to, — zbyt słaba ludzka mowa, a nawet ten wyraz: słaba , jeszcze nie jest odpowiednim; jest żadna! Nagle anioł poczuł, że maleje, z przecudnych bezmiarów, wchodzi jakąś siłą niepojętą ściągan w przestrzenie ściśle ograniczone mimo przeogromnego oporu, a to co przedtem widział, zaciera się w pamięci. Malał wciąż, aż skupił się zaledwie w płomyczek, przeniknął bloki grobowca i wszedł w rozkładające się ciało. I oto wznowiło się życie w próchnie, w mózgu ozwało się pragnienie tych widoków cudnych, ale zmalało do rozmiarów potrzebnych żywemu człowiekowi, a nazwanych na świecie miłością. Tulił w objęciach Zarę i całował stopy Chrystusa, albowiem mieściło się w nim tyleż szczęścia ograniczonego ile nieograniczonego mieściło się w wyzwolonym duchu. To było dzieło olbrzymie i oto dlaczego mistrz nie mógł jeszcze wyjść z uniesienia, dlaczego pieścił własne myśli uporczywie, zamiast wejść w życie i jego walki.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Czem się odżywiać?

(W odpowiedzi p. Ludwikowi St. Unsingowi.)

Artykuły p. Unsinga są śliczne, interesujące i naukowe. Ale twierdzenie, że człowiek nie powinien jeść mięsa, gdyż nie jest mięsożernym, zasługują poniekąd na krytykę! Dowód, że człowiek nie ma do tego szczęki, zębów, jelit, ani zwierzęcej chciwości, żarcia mięsa, krwi i kości, jest niewystarczający. Człowiek bowiem nie jest, jako zwierzę, ani mięsożerny, ani trawożerny, ani nawet owocożerny, ani też wszystkożerny. Człowiek jest oryginalnością, nie jako zwierzę, która ma swój specjalny sposób życia, dany mu przez naturę! Wilk n. p. leci na owcę, lis na kurę, koń na owies, krowa na konicz, kot na myszy, wąż na żaby i t. d. Człowiek je tylko przetwory. A każda potrawa człowieka, czy to z mięsa, czy z jarzyn, czy z owoców a nawet z trawy, jeżeli jest dobrze przyrządzona, to nie jest szkodliwą ale raczej zdrowa. Przeciwnie, jak każda potrawa, tak i mięso, jeżeli jest źle przyrządzone i ugotowane, za twarde lub zepsute, jest szkodliwe zdrowiu!

Drugi dowód, że rzeźnie są za miastem i że się zabrania przewozić mięso niezakryte, gdyż jest wstrętne, nie jest dowodem szkodliwości spożywania mięsa. Jest to bowiem tylko hygiena, gdyż odór gnijących odpadków i t. p. nie może być tolerowany na środku miasta. Jatki natomiast są zawsze blisko centrum miasta. Przewożenie zaś zakrytego mięsa również się tem tłomaczy, że mięso niezakryte przyjmuje wszystkie brudy i prochy. I jakże onoby wyglądało, gdyby było walane po brudnych wozach i wszędzie! Czy byłoby do użycia? Ale za to widok i zapach kuchni, na której się gotuje, smaży, praży wszlkie mięso, jest miły. A dla mocno głodnego nawet djablo pociągający.

Pisze Pan Unsing: „Nazywamy wieśniaka szczęśliwym, że ma jarzyny, zboże, owoce. Chętnie jemy je surowe, bo smakują, pociągają magnetycznie i nawet zbawienny wpływ wywierają na trawienie i zmysły. Mamy tedy już trzeci dowód przeciw mięsożerstwu". Otóż i ten trzeci dowód nie jest dowodem, dlatego, że zboża i jarzyn surowych nikt nie je. Można zjeść nieco jarzyn surowych i owoców, o ile są dobrego gatunku i dojrzałe. Natomiast żyć i głodu zaspakajać samemi surowemi owocami i jarzynami nie można. A spożyte w większej ilości są szkodliwe!

Czwarty dowód, że matki karmiące w czasie podróży na okręcie tracą pokarm z powodu używania mięsa, też nie jest dowodem, gdyż taka matka w podróży jest strudzona, zdenerwowana, niewyspana, wogóle zmęczona i to jest ujemne a nie mięso!

Albo tak zwane mamki sprowadzane ze wsi do miasta, — o których pisze p. Unsing, że tracą swój zdrowy czerstwy wygląd i mleko w piersiach, nie tłomaczy się spożywaniem mięsa, lecz murami i brakiem świeżego powietrza. Na wsi taka mamka, co je, to je, byle do syta, jest w swoim żywiole. W mieście zamkną ją między mury, ulice, kamienice, i t. d. powietrze jest przesycone pyłem i wyziewami miasta, woda nie tak czysta, jak na wsi z potoka, lub ze źródła i taka mamka blednie i mleko w piersiach traci!

Wogóle zwalczanie spożywania mięsa jest nonsensem, bo czyż mamy nasze śliczne buhaje, jałowice i tłuste świnki do dołu zakopać! A czem zastąpimy mięso!? Po miastach rzeźnicy, masarze, handlarze i różni kupcy, noszą piękne okrągłe brzuszki, mają dobrą tuszę i pyzate policzki, chociaż jedzą przednie mięso! — podczas gdy na wsi, gdzie ludzie żywią się barszczem, kapustą i kartoflami takich się nie spotyka. A więc nie spożywanie mięsa jest szkodliwe, ale raczej nadużywanie!

Wszelkie nadużywanie, czy to pokarmów, czy napojów, jakimi one są wogóle, jest szkodliwe i mści się na zdrowiu człowieka, doprowadzając go do chorób, kalectwa a nawet i śmierci samej! A te nadużycia są bardzo rozliczne, nie tylko co do jedzenia i picia, lecz w różnym rodzaju i gatunku. Człowiek naduży-

wa tego zdrowia i życia aż to zdrowie zostaje wyczerpane a życie złamane moralnie i fizycznie. I człowiek staje się nieszczęśliwy! Trzy czwarte tego świata i ludzi jest nieszczęliwych tylko przez różnego rodzaju nadużycia. Nadużycia w mowie, jedzeniu, piciu, zabawach, obyczajach, a nawet i w pracy! Za każde nadużycie karą jest zaraz choroba, czego następstwem jest szereg innych przykrych konsekwencyj!

Używki, o których pisze p. Unsing, nie są wcale używkami lecz raczej nadużyciami, które należy jak najenergiczniej zwalczać. Bo użyć a nadużyć to jest różnica. Wlazła krowa w młodą koniczynę z ranną rosą i używała, żeby była nie nadużywała, toby była żyła, lecz ta dotąd używała, aż ją wzdęło i pękła. Albo koń wlazł do śpichlerza, tam był owies w sąsieku. Tak tam używał, aż dostał ochwatu i zdechł! Tak jest ze wszystkiem! Co zadużo, to nie zdrowo. Więc zwalczajmy nadużycia, ile sił, a gdy nadużyć będzie mniej, to i nieszczęść będzie mniej, a natomiast będzie więcej szczęścia. *Szczepan Orzech.*

Kobiety dziś a.. dawniej.

Kobieta nowoczesna, uważana przez wszystkie niemal kraje cywilizowane za istotę równorzędną mężczyźnie, stara się dorównać mu pod każdym względem. Przedewszystkiem chodzi jej o dorównanie mu wyglądem zewnętrznym, fizycznym i umysłowym. I tak: nosi krótkie, przejrzyste sukienki, sięgające zaledwie kolan, włosy ma obcięte „à la garçonne", ubiera się w męskie spodnie sportowe, ba, wdziewa nawet frak.

Nasze stateczne matrony z przed 25 lat, rumieniły się z początku, na widok dzisiejszej mody i nowoczesnnych tańców. Uważały to za szczyt niemoralności. Kobieta w dawnych czasach, nosiła suknie sięgające kostek. Jak więc widzimy, suknie były długie. Lecz noszono wówczas nie tylko długie lecz i szerokie, jak krynoliny. Takie suknie nosiły damy z dobrze wychowanych domów.

Czy noszono wówczas krótkie sukienki?

Nie możemy temu zaprzeczyć. Owszem, sukienki po kolanka nosiły kobiety, lecz tylko kobiety lekkich obyczajów, by móc je łatwo poznać.

Czy kobiety miały dawniej obcięte włosy?

I temu zaprzeczyć nie możemy. Włosy obcinano kobietom, które oznaczały się nierządem. Była to więc kara dla nich, którą spełniał nie fryzjer, lecz kat.

Pod względem fizycznym: Kobieta dzisiejsza uprawia wszelkiego rodzaju sporty, jak lekką gimnastykę, jazdę konną, samochodem, przelatuje na aeroplanie ocean, przepływa kanał La Manche, a nawet bokserstwo.

Pod względem umysłowym. A więc kobieta zabiera mężczyźnie miejsce w biurze, w sądzie szpitalu, sejmie i... na tronie. Ileż to dziś mamy już kobiet — doktorów medycyny, kobiet — inżynierów, posłanek, dyrektorów fabryk itp. Jednem słowem, starają się umężczyźnić i wyprzeć ród męski ze wszystkich możliwych placówek. Nie potrzeba dodawać, że kobieta taka, kiedy się usamodzielni staje się zarozumiałą i próżną. Gdyż lwią część swojej miesięcznej gaży zużywa na kupno drogocennego futra, kosztownych sukienek, jedwabnych pończoszek, mydełek toaletowych, perfum i różnych kosmetyków. Pensja więc, jaką bierze, wystarcza jej zaledwie na zakupno „niezbędnych" drobiazgów. Z powyższej więc przyczyny, kobieta taka nie doje, lub karmi się taniemi i mało pożywnemi potrawami, co staje się przyczyną suchot lub choroby anemicznej i musi wkrótce wyjechać na „zieloną trawkę".

Do jakich rozmiarów dochodzi „zamiłowanie" kobiet w kosmetykach, jakich rozmiarów sięga próżność kobieca, może dowieść niejeden fakt, że kobiety, które mają odbyć karę w więzieniu, przynoszą lub przywożą ze sobą „tobołki" z kosmetykami. Nie chcą się również rozstać z modą, wciąż się zmieniającą. Więc skracają sobie w więzieniu sukienki, lub przerabiają je nawet, by po ich uwolnieniu, wyjść na ulicę modnie ubraną.

Dzisiaj panna mająca 20—30 lat, nie myśli jeszcze o zamążpójściu, a kobieta 40—50 letnia uważa swój wiek za okres pełnego rozkwitu młodości. Bawi się po dancingach równie dobrze, jak jej 17-letnia córeczka, zazdroszcząc jej nieraz, że wygląda nieco starzej od swej córki. Oczywiście, że wygląd tych wszystkich „poważnych matron" trzeba przypisać jedynie kosmetykom. Starają się więc uwolnić ciało od jakichkolwiek wad, które szpecą ich zewnętrzny wygląd,wreszcie od zmarszczek które zdradzają ich naturalny wiek. To jeszcze jest za mało dla nich, chcą się stać ładniejszemi, niż je natura stworzyła. Posypują więc swe twarze różnej barwy pudrami, by nadać swej twarzy wygląd młodzieńczy, czernią sobie brwi, podkreślają oczy, by je uwydatnić, a nie rzadko zapuszczają oczy atropiną, karminują wargi, malują włosy, by przypadkiem, nie widać było, że ona ma już kilka kępek siwych włosów. Wszystkie te prawie zabiegi, robią kobiety na publicznem miejscu. Za dawnych czasów, znano tylko puder, którym kobiety posypywały swe twarze, lecz w znikomej ilości, by go znać nie było i tylko w osobnym „boudoir".

Moda kobieca odnosi się nie tylko do ubioru, lecz i do ciała. Obecnie moda nakazuje kobietom być szczupłą. Szczęśliwe są te kobiety, które natura obdarzyła szczupłością; lecz cóż mają robić te, które są tęgiemi?

Jeśli chodzi kobietom o dokonanie czynu, który dla nich może być dodatnim, nie przebierają w środkach. Więc ta kobieta, która chce się „zrobić modną", nie dojada i poświęca kilka godzin na gimnastykę „uszczuplającą".

Dzisiejsze kobiety mają szczególne zamiłowanie w nowożytnych tańcach. Tańczą całemi dniami charlestona, black-bostona, kinkajona itp., pozostawiając gospodarstwo na „łasce Bożej"!

Nic więc dziwnego, jeśli kobieta przyszedłszy rano z balu do domu, nie chce się jąć żadnej pracy domowej i mówiąc, że jest zmęczoną i spuściwszy story u okien, gdyż dzienne światło ją razi, kładzie się na cały dzień spać, by znów nocami „pracować"

Władysław Stawarz.

(Dokończenie nastąpi).

Na fundusz wydawnictwa nadesłali PP.:

Stefan Sarlej z Włodawy 1·60 zł. na porcęta dla Maćka, Jan Mika z Zaborowa na chrzan dla Maćka 2 zł., Ant. Radomski na kiełbasę dla Maćka 1 zł., Fr. Masłowski na opaskę do wąsów dla Maćka 1·10.

Poradnik gospodarczy.

Do jarzyn najczęściej spotykanych na wsi należą: kapusta, pietruszka, marchew, cebula, groch i przeróżne fasolki. Przejdźmy krótko uprawę tych roślin. O kapuście pisano już w poprzednich nr. „Roli", ale tu zaznaczę, iż są dwa rodzaje kapusty, zwykła i głowiasta biała. Uprawiamy ją albo na letni albo zimowy użytek. Do pierwszego celu używamy odmian wczesnych szybko rosnących, do drugiego odmian wolno wykształcających się lecz silnie się rozrastających.

Kapusty lubią ziemię tłustą, gliniastą, wilgotną, dobrze nawożoną i głęboko przekopaną.

Rozsada użyta do sadzenia powinna mieć 4—6 listków i sadzona od 40—50 cm. Po wsadzeniu należy ją silnie podlewać, a gdy podrośnie okopywać co kilka tygodni. Kapusta należy do najwięcej uprawianych warzyw i może rolnikowi przynieść duże dochody.

Pietruszka wymaga również ziemi bardzo urodzajnej. Ponieważ nasienie potrzebuje długiego czasu, aby zeszło należy siać ją wcześniej z wiosną i często podlewać. Można siać pietruszkę już w jesieni w listopadzie, gdyż zimno dobrze znosi. Sieje się wprost do gruntu siewem zwykłym lub w rządki, co 20 cm. odległe. Przesadzania nie lubi.

Najlepszą odmianą jest cukrowa półdługa. Używamy ją w stanie zielonym, to jest nać lub korzonki.

Można mieć przez całą zimę świeże listki pietruszki — gdy ją w tym celu wkopiemy w piasek i przechowamy w piwnicy.

Marchew należy przed siewem wypróbować, czy dobrze kiełkuje, a dopiero zasiać w dobrze spulchniony grunt. Sieje się w rzędy lub rzutem. Po zasianiu lekko przykryć ziemią przez posiekanie grządki grabiami. Latem należy ją starannie wyplewić i gdzie za gęsto przerwać. W czasie posuchy podlewać.

Sieje się gdy tylko, minie obawa mrozów.

Do wczesnego użytku można zasiewać podobnie, jak pietruszkę już w jesieni.

Odmian marchwi jest dużo, najwięcej polecaną jest krakowska zastosowana do naszego gruntu.

Marchew można siać wczas już w lutym do inspektu, sadząc między nią rzodkiew lub sałatę. Po zebraniu rzodkiewki i sałaty marchew pięknie się udaje. Do hodowli w inspektach używa się specjalnej odmiany francuskiej, którą można otrzymać w każdym handlu z nasionami.

Marchew jest bardzo zdrowem warzywem, które jednak dosyć trudno przechowuje się przez zimę. Najlepiej zimuje zakopana w dołach (kopcach). Odmiana marchwi tak zwanej pastewnej, dochodzi do dużych rozmiarów i jest bardzo zdrowym pokarmem dla bydła i trzody. Również konie zjadają ją bardzo chętnie. Uprawa jej łatwa a przynosząca duże zyski. O uprawie cebuli, fasoli i grochu niema co mówić, gdyż uprawa każdemu dobrze znana. Zaznaczę iż cebulę możemy hodować w jednym roku z sadzonek wyrosłych z nasienia wsianego w inspekt lub z małych cebulek z zeszłorocznego siewu (dymka).

Cebula lubi ziemię bardzo pożywną, tłustą, ciepłą, a nie znosi świeżego nawozu zwłaszcza końskiego — po którym nabiera ostrego smaku. Najwięcej spotykaną u nas odmianą jest cebula żytawska, stosunkowo żółta, bardzo trwała.

Poradnik lekarski.

Porażenie piorunem. Nie zawsze człowiek rażony piorunem traci życie, trzeba go tylko ratować natychmiast, gdyż czasem nastąpiło odurzenie, wstrząśnienie lub poparzenie. Przedewszystkiem należy go ostrożnie rozebrać ze szmat i omyć go prędko zimną wodą. Kiedy stracił przytomność, robi się sztuczne oddychanie i postępuje tak, jak z uduszonym. Zakopywanie w ziemię nic nie pomaga, owszem szkodzi porażonemu.

Chrońmy wzrok. Kiedy przed 30 niespełna laty ujawniono w Warszawie zastraszającą próchnicę zębów — wówczas lekarze higjeniści podnieśli wielkie larum, celem uświadomienia szerokich mas, jak potworne niebezpieczeństwo zagraża człowiekowi z tak pozornie błahej przyczyny, za jaką ówcześnie miano właśnie chorobę zębów. Jakkolwiek w tej dziedzinie jest jeszcze wielkie pole do pracy — wyniki uświadomienia wypadły zgoła imponująco. Świadczy o tem rozwój dentystyki dzisiejszej. Jeszcze przed kilkunastu laty dentysta był luksusem, dziś jest koniecznością. Zważmy teraz jak jest z oczyma, tą źrenicą duszy i owym najszlachetniejszym człowieka organem? W epoce oszałamiających wynalazków i z gruntu zmienionych nietylko warunków pracy, ale i powszechnego bytowania — czyha na oko ludzkie zewsząd grożące niebezpieczeństwo częściowej bądź całkowitej ślepoty. A jest to organ, o który — wyznajmy szczerze — najmniej dbamy. Lekceważymy go, o niezbędnej higjenie zgoła nie mamy pojęcia i dopiero stwierdziwszy stan groźny, a często wręcz beznadziejny — udajemy się do lekarza. W rezultacie ślepnących i ślepych zastraszająco wzrastają całe zastępy. Dość odwiedzić kliniki, bądź oddziały w szpitalach dla chorób ocznych, dość zajrzeć do poczekalni lekarzy wolnopraktykujących, by zdać sobie sprawę — jak w niedbalstwie szerzą się choroby oczu. Jakże często są to choroby wynikłe wskutek ich bagatelizowania i niezapobieżenia w czas ich rozwoju. Zazwyczaj kończą się one utratą jednego oka, jeżeli nie całkowitą ślepotą. Czy nie czas więc uderzyć w wielki dzwon alarmowy i wszcząć akcję, uświadamiającą szerokie masy o należytem pielęgnowaniu oka i jego higjenie? Rozwój okulistyki jest wielki i oczywisty, ale stokroć większą i oczywistą jest ignoracja ludzka dla oka. Z tem należy walczyć!

(Dalszy ciąg w następnych numerach).

KRONIKA.

Od Redakcji. Redakcja i Administracia „Roli“ dziękują serdecznie wszystkim tym, którzy nam przesłali życzenia świąteczne. Pamięć naszych Czytelników o nas jest dowodem Ich uznania dla nas za naszą żmudną pracę.

Przepowiednie na kwiecień. Miesiąc marzec wykazał wielkie skrajności w pogodzie. Fala zimna i mrozów tęgich nawiedziła Europę i Amerykę z dniem 8 marca b. r. Następne ocieplenie nie było jednostajne. I tak, gdy w Polsce było niebywałe ciepło, zanotowano w te dni na południu Europy (Włochy) niebywałe w tym czasie kilkostopniowe mrozy i śniegi. Nad środkową Europą zaś przeszły fale ciepła, wywołując złudę pełnej wiosny. Niestety, przejdziemy jeszcze przez okres chłodów wiosennych, które jednak na szczęście szczególnie przy niebie pogodnem, tracą na sile z powodu coraz dłuższego i silniejszego promieniowania słonecznego. W połowie kwietnia chłodno, dżdżysto, miejscami dużo opadów (słota) i zimne wiatry. Koniec miesiąca przyniesie pogodę przeważnie zmienną z przelotnemi deszczami. Coraz cieplej w dzień, noce chłodne. Temperatury ostatniej dekady miesiąca kwietnia ponownie podlegać będą silnym wahaniom. Najprzykrzejsze dni miesiąca, połączone z wichrami i orkanami, burzami i licznemi katastrofami — przypadną od dnia 2 do 6, 16 i od 22 do 26 kwietnia. W te dni istnieje niebezpieczeństwo trzęsienia ziemi. W pierwszej połowie miesiąca grożą przymrozki nocne, co powinno być ostrzeżeniem dla rolników i ogrodników.

Tajemnicze ukrycie się w Tatrach. Niezwykła historja wydarzyła się w dniach ostatnich w Zakopanem. Zachodzi nawet obawa, że może ona znaleźć tragiczny epilog. Jeszcze w roku 1914 gazda zakopiański Jan Roj, wzięty do wojska austrjackiego, wyruszył na front, pozostawiając w Zakopanem żonę z pięciorgiem dzieci. Odtąd wszelki słuch o nim zaginął. Według poważnych informacyj miał on ponieść śmierć na froncie rosyjskim. Po pewnym czasie żona Roja wyszła powtórnie za mąż, przekonana, że pierwszy mąż jej nie żyje. Aż tu nagle przybywa do Józefa Roja, brata zaginionego pewna kobieta, przynosząc mu sensacyjne informacje. Oto przed kilku dniami spotkała ona zaginionego, który, jak się okazuje, w początkach wojny dostał się do niewoli rosyjskiej, a obecnie pieszo powrócił do kraju, znajdując się już przeszło rok w drodze. Dowiedziawszy się o powtórnem zamążpójściu swojej żony, Jan Roj postanowił nie wracać już do domu. Ruszył w góry i zapewnił, że rodzina nie zobaczy go już nigdy. Mimo poszukiwań przyjaciół, którzy dowiedzieli się o powrocie nieszczęśliwego męża, nie udało się go odnaleźć. Ewentualne zmyślenie historji o pojawieniu się Jana Roja przez kobietę, która przyniosła tę wiadomość, zdaje się być wykluczone, ponieważ opowiadała ona takie szczegóły o rozmowie z zaginionym, że według zdania rodziny wzbudzać muszą całkowite zaufanie. A jednak niezbitej pewności niema. Ale czy to wszystko prawda, czy nie, można sobie wyobrazić straszne położenie tych ludzi, którzy nie wiedzą, co im teraz uczynić należy.

Bandytyzm w okolicach Jarosławia. Z Jarosławia donoszą: W zeszłym tygodniu w nocy woźnica p. Domiczka, zastępcy browaru p. Goetza, jadąc o godzinie 8 wieczór wozem ul. Kołłątaja, został napadnięty przez trzech osobników, którzy, wyskoczywszy na wóz, zrabowali mu torbę z zawartością 550 zł. i poczęli uciekać. Wówczas woźnica puścił się w pogoń za bandytami i jednego dogonił, lecz ten w pewnym momencie wystrzałem z rewolweru ranił go w brzuch. Rannego w ciężkim stanie przewieziono do miejscowego szpitala. Tej samej nocy o godz. 12, prawdopodobnie ta sama szajka, dobijała się do mieszkania Dymitra Sawarzyńskiego, bogatego sklepikarza na Dolinie. W krytycznym momencie przechodził tamtędy Edmund Barłóg, woźny urzędu pocztowego, wracający ze służby. Złoczyńcy dali do niego kilka strzałów rewolwerowych, raniąc go w łopatkę. Barłóg wskutek upływu krwi życie zakończył. Policja wszczęła za sprawcami energiczny pościg.

Zamach na dyrektora gimnazjum. W ubiegłym tygodniu późnym wieczorem miał miejsce we Lwowie polityczny zamach, który na szczęście nie skończył się zbyt tragicznie. Sprawcami zamachu tego — co nie ulega kwestji — byli bojówkarze z tajnej ukraińskiej organizacji wojskowej. Z okazji imienin marszałka Piłsudskiego w dniu 19 marca b. r. także w ruskiem gimnazjum państwowem przy ulicy Leona Sapiehy miał się odbyć poranek. Tymczasem w nocy nieznani sprawcy pozdzierali i poniszczyli dekoracje tak frontu gmachu gimnazjalnego, jak też w sali, w której miał odbyć się poranek. Pozatem grupa bojówkarzy usiłowała nie dopuścić do uroczystego nabożeństwa w cerkwi św. Jura, na którem jawiła się też młodzież gimnazjalna. Za to dyrektor gimnazjum tego, p. Mikołaj Sabat, uczniów gimnazjalnych ukarał. Policja natomiast aresztowała dwóch ukraińskich akademików, a onegdaj przeprowadziła jeszcze rewizję u Mulkiewiczów, zamieszkałych przy ul. Kętrzyńskiego l. 10, u których aresztowała Karola Mulkiewicza i N. Lewickiego. Te dwa fakty niewątpliwie spowodowały, że w tajnej organizacji ukraińskiej postanowiono wykonać zamach na dyr. Sabata. Toteż w ubiegły wtorek po godzinie 9 wieczór do budynku gimnazjalnego od strony ulicy Zacharjewicza przyszli czterej osobnicy, którzy udali się na pierwsze piętro do mieszkania dyr. Sabata. W czasie tym nałożyli na twarze czarne maski i zadzwonili do mieszkania, usiłowali dostać się do wnętrza. Tymczasem służąca przez otwór w drzwiach spostrzegła zamaskowanych osobników, narobiła krzyku i o tem zawiadomiła swego pana. Dyrektor Sabat otworzył okno i począł wołać o pomoc, a nadto telefonicznie o tem zawiadomił policję. Bojówkarze, widząc, że plan ich nie jest już do wykonania, poczęli uciekać. W pościg za nimi puścił się dozorca, do którego bojówkarze oddali trzy strzały rewolwerowe, raniąc go lekko, poczem zbiegli ulicą Karpińskiego w kierunku placu Jura. Zaalarmowana policja natychmiast autem przybyła do gmachu i rozpoczęła śledztwo. Na ulicy Zacharjewicza znaleziono jedną porzuconą maskę. W ciągu nocy przesłuchano wiele osób i przeprowadzono kilka rewizyj w sferach młodzieży ukraińskiej. Dalsze śledztwo wykaże, jacy to „bohaterzy“ usiłowali urządzić zamach na spokojnego człowieka.

Aresztowanie ukraińskiego mordercy. Ze Lwowa donoszą: W ręce policji politycznej wpadł niebezpieczny szpieg i wielokrotny morderca, Ukrainiec, Wasyl Połotniuk, były student politechniki lwowskiej. Połotniuk dokonywał morderstw i napadów na tle politycznem. Ostatnio zabity został przezeń w listopadzie niejaki Michał Huk, uważany przez tajne organizacje ukraińskie za konfidenta policji politycznej polskiej. Organizacja wydała na Huka wyrok śmierci, a Połotniuk wyrok ten wykonał. Poza tem dokonał Połotniuk napadu na wóz pocztowy celem zdobycia pieniędzy dla organizacji ukraińskiej, przyczem strzałami rewolwerowymi

pozbawił życia dwóch funkcjonarjuszy pocztowych. Bandyta i morderca został aresztowany na ulicy zupełnie przypadkowo. Stanie on przed sądem oskarżony o szpiegostwo i trzykrotne morderstwo.

Napad bandytów na folwark. Przed kilku dniami nieznani sprawcy urządzili napad na folwark w Gruszy koło Stojanowa, którego właścicielem był Szulim Katz. Gdy Katz wyszedł na podwórze, jeden z napastników dwukrotnie do niego strzelił. Ponieważ strzałami tymi zaalarmowani zostali mieszkańcy folwarku, napastnicy zrabowali trochę rzeczy, poczem cofnęli się i zbiegli. Ciężko rannego Katza rodzina przewiozła do Lwowa i umieściła w sanatorjum. Zabiegi lekarskie były jednak bezskuteczne, gdyż Katz wskutek upływu krwi zmarł.

Romantyczna ucieczka samolotem. Pisma warszawskie donoszą: W ubiegłym tygodniu zgłosił się na policję w Warszawie pewien znany przemysłowiec, który czasowo wraz żoną swoją bawił w gościnie u znajomych w Warszawie i oświadczył, że żona jego Anna znikła wraz ze znaczną gotówką, biżuterją, z sukniami i... pilotem, p. Jerzym Hartmanem. Pani Anna znana ze swej urody i ekscentrycznego usposobienia pochodziła z Bessarabji i niejednokrotnie wyrażała chęć wyjazdu do swej ojczyzny. U znajomych owego przemysłowca bywał jako częsty gość niejaki p. Jerzy Hartman ze Lwowa, pilot jednej z polskich linij lotniczych. Pani Anna ostatnimi czasami konspirowała coś z pięknym lotnikiem, a nagle, jak powiada poszkodowany, znikła ze swym adoratorem. Nie ulega wątpliwości, że zakochana para umknęła z Warszawy samolotem.

Bunt więźniów. W wielką środę w godzinach popołudniowych, w miejscowem więzieniu karnem w Płocku, wybuchł groźny bunt więźniów. Jak gdyby na komendę w licznych celach powstała nieopisana wrzawa, więźniowie zaczęli wśród nieopisanych wrzasków niszczyć rzeczy więzienne, a szczątkami ich rozbijać szyby w celach, wzniecając w całym gmachu więziennym wielki tumult. Ponieważ wszelkie zabiegi ze strony straży więziennej zmierzające do opanowania buntu, nie dawały wyniku, władze zaalarmowały ostre pogotowie policyjne i wojskowe, a jednocześnie straż ogniową. W pewnym momencie ujawniło się, że przewodnictwo nad zbuntowanymi więźniami objął odsiadujący karę ciężkiego więzienia groźny przestępca Jan Majewski, który też mimo kontrakcji ze strony władz coraz bardziej podsycał więźniów do wybryków. Tłem do wybuchu niepokojów miało rzekomo być złe odżywianie więźniów. Gdy gmach zarówno z zewnątrz jak i wewnątrz otoczony został przez przybyłe oddziały policji i wojska i gdy w dalszym ciągu niemilkła wrzawa, wówczas przeprowadzono do wewnątrz więzienia węże strażackie i puszczono kilka strumieni zimnej wody. Ten środek podziałał bardzo szybko, otrzeźwiając więźniów i przywracając w rezultacie spokój wśród zbuntowanych. Cała akcja trwała jednak kilka godzin. Na miejsce zjechały wyższe władze sądowo-śledcze, celem przeprowadzenia szczegółowego dochodzenia w sprawie wybuchu niepokojów.

Olbrzymia defraudacja. W więzieniu wojskowem w Grudziądzu osadzono porucznika 15 p. a. p. Mierzyńskiego, który dopuścił się olbrzymiej defraudacji. Por. Mierzyński był oficerem garnizonu w Bydgoszczy i miał ostatnio przegrać wielką sumę w kasynie gry w Sopotach. Przegrane przez niego pieniądze pochodziły z defraudacji. Znalazłszy się w sytuacji bez wyjścia, por. Mierzyński zbiegł i ukrywał się w pewnem miasteczku na Pomorzu, gdzie go wykryto. Chciał on odebrać sobie życie, lecz w ostatniej chwili brakło mu odwagi. Por. Mierzyński przyznał się, że zdefraudował 140 tysięcy złotych, jednakże rewizja kas i ksiąg wykazała, że zdefraudowana przez niego suma przekracza 200 tysięcy złotych. Oto do czego prowadzi wszelka gra hazardowa.

Aresztowanie duchów. Z Bydgoszczy donoszą: Wieś Trawomyśl od dwóch przeszło tygodni pozostawała pod silnem wrażeniem nieszczęścia, jakiego doznawał miejscowy gospodarz Hackenbart pod postacią nawiedzania jego domu przez duchy. Oto jakieś niesamowite postacie krążyły koło jego domostwa, a równocześnie w powietrzu fruwały najrozmaitsze przedmioty. Konie, wypuszczane przez niewidzialną rękę ze stajni, a do wnętrza mieszkania przez wybite szyby padały kamienie z podpisem „djabła". Na wieś padł paniczny strach. Dwóch uzbrojonych miejscowych śmiałków postanowiło rozprawić się z duchami.



Dopadłszy ich koło stodoły rzucili się na nich. Rozpoczęło się szamotanie; duchy jednak były silniejsze i śmiałkowie zmuszeni byli ratować się ucieczką. Zawiadomiona o tem policja przybyła na miejsce i jej to w krótkiej drodze udało się duchy zmaterjalizować w osobach parobka Rabalskiego i syna miejscowego gospodarza Nikoraja, którzy, czując złość do Hackenbarta w ten sposób wywierali na nim swą zemstę. Obydwóch aresztowano.

Cudowne uleczenie. W małej miejscowości południowych Czech, w Prościejowicach, zdarzył się wypadek cudownego uzdrowienia. Mianowicie syn tamtejszego gospodarza wiejskiego, Fr. Koutnik, jako 14-letni chłopiec zachorował ciężko na nerki w roku 1922. Stan jego z roku na rok się pogarszał i młodzieniec ten od sześciu lat przykuty był do łóżka, albowiem w chorobie jego ujawniły się ciężkie komplikacje, które spowodowały częściowy paraliż rdzenia pacierzowego i kompletny bezwład aparatu trawienia, tak że pacjent od szeregu lat mógł przyjmować tylko pokarmy płynne. W nocy na 21 lutego b. r. rozbłysło coś przed sparaliżowanym chłopakiem wiejskim, który posłyszał równocześnie słowa pociechy zapowiadające mu szybkie wyzdrowienie. W zjawisku rozpoznał chłopiec św. Teresę. Jakaś tajemnicza przemożna siła dźwignęła go z łóżka i kazała mu iść na spotkanie cudownego zjawiska. Obraz świętej rozpłynął się w powietrzu, chłopiec zemdlony padł na ławę stojącą przed piecem, gdzie go znalazł ojciec. Następnego poranka, jak stwierdza praski lekarz Dr Hynek zawezwany do chorego, Franciszek po raz pierwszy po sześciu latach spożył pokarm stały. Pacjent chodzi obecnie prosto i stan jego zdrowia wybitnie poprawia się z dnia na dzień. Sprawozdanie Dra Hynka o całym procesie uzdrowienia przedstawia się następująco: Przed 21 lutego pacjent poprostu był szkieletem powleczonym skórą. Muskulatura była tak słaba, że prawie niepodobna było zaobserwować jej pracy. Ca-

łe ciało miało oznaki długotrwałej, organicznej choroby z wybitnemi zmianami w kośćcu. Obecnie, a zatem po wizji w nocy z 21 lutego, Koutnik może chodzić bez bólu i może się nawet schylać. Cały szereg oznak wskazuje na to, że pacjent został istotnie uzdrowiony. Chłopiec skoro tylko nabierze więcej sił, zostanie odesłany do Pragi i poddany badaniom fachowców.

Pożar w podziemiach. Z Wilhelmshafen, w Niemczech, donoszą o niezwykłym pożarze podziemnych urządzeń kanalizacyjnych. Dwaj robotnicy zajęci czyszczeniem kanału podziemnego, posługiwali się lampkami. Z nieznanej przyczyny dostały się nagle do kanału benzyna i benzol, wskutek czego nastąpiła eksplozja, która w okamgnieniu objęła pożarem 2 klm. urządzeń kanalizacyjnych. Robotnicy wzywali daremnie pomocy. Wszelkie próby wyciągnięcia ich zawiodły, ponieważ następowały coraz to nowe eksplozje. Wysoki na 100 m. słup płomieni przedarł się z kanalizacji przez szczelinę uderzył w powietrze. Straże ogniowe zastosowały nowoczesne sposoby gaszenia przy pomocy aparatów t. zw. szumowych. Rzucono 48.000 litrów wodnego szumu do kanalizacji. Mimo to nie udało się w ciągu dłuższego czasu ugasić pożaru. Dwaj robotnicy zostali żywcem zwęgleni.

Katastrofa lotnicza pod Metzem. W pobliżu Metzu zderzyły się w powietrzu dwa wojskowe samoloty francuskie. Katastrofa nastąpiła na wysokości 1.000 metrów. Piloci usiłowali się ratować spadochronem.



Jeden z nich wylądował szczęśliwie. Spadochron drugiego samolotu nie rozwinął się i lotnik poniósł śmierć na miejscu. Prawie jednocześnie na lotnisku pod Metzem podczas lądowania przewrócił się trzeci samolot i pilot został ranny.

Pałac ze szkła i stali. W lecie odbędzie się wielka międzynarodowa wystawa prasowa w Kolonji, w której i Polska weźmie udział. Dział niemieckiej prasy ewangielickiej ma się mieścić w imponującym gmachu, który bęezie wzniesiony jedynie ze stali i żelaza. Szkielet tej oryginalnej budowli stanowić będą stalowe belki, ściany zaś tworzyć będą olbrzymie płyty szklane. Już zamówiono w Ameryce wszystkie części składowe oryginalnego pałacu. które niezadługo zostaną sprowadzone do Kolonji i zmontowane. Po ukończeniu wystawy gmach ten będzie świątynią ewangielicką.

Sekta na wymarciu. W gubernji jakuckiej znajduje się niewielkie miasteczko Boskaja Majka, zamieszkałe przez niespełna 1.000 dziwnych sekciarzy. Nie używają oni alkoholu, nie palą i żyją w zupełnej wstrzemięźliwości płciowej, to jest w tak zwanych związkach duchowych. Mieszkańcy ci są niezwykle łagodnego i spokojnego usposobienia: nie znają oni kłótni, ani obmowy, nie wiedzą co to kradzież i zajmują się ciężką pracą na powszedni kawałek chleba. Podług mniemania sekciarzy, grzechem jest wydawać dzieci na świat i narażać je na grzechy i pokusy życia. Nikt nigdy więc w owej Boskiej Majce nie widział małego dziecka i wymarłaby wkrótce cała osada, gdyby nie jej wysłannicy. Bo oto „bracia" i „siostry", którzy nie mogą już ciężko pracować, wysłani są w świat, aby werbować nowych zwolenników i wyznawców. W ostatnich czasach jakucki sowiet ogłosił, iż misjonarzom z Majki nie wolno kaptować nowych członków. Jeżeli chcą trwać, niech się rozmnażają. Ale sekciarze przyjęli tę propozycję z ogromnem oburzeniem i zadecydowali raczej zagładę sekty, niż jej podtrzymanie w tak grzeszny sposób.

Pół miliona gałonów nafty w płomieniach. Z Londynu donoszą: W miejscowości Brockland w Stanach Zjednoczonych szaleje olbrzymi pożar. Oto palą się olbrzymie składy nafty. Ogień widać na odległość wielu mil. Na pomoc pospieszyły wszystkie okoliczne straże pożarne, wszelka akcja jest jednak uniemożliwiona. Muszą się one bezradnie przypatrywać, jak cały zapas ropy się pali. Jedyną czynnością ich jest niedopuszczenie ognia do dalszych zbiorników. Należy się spodziewać, że ogień potrwa jeszcze parę dni. Chwilami słychać potężne eksplozje, które pod względem siły nie ustępują wybuchom wulkanów. Gęste czarne chmury dymu zasłaniają cały horyzont.

Porwany chłopiec. W pewnej wsi położonej w pobliżu Weltevreden na wyspie Jawie, zniknął bez śladu ośmioletni chłopiec. Mieszkańcy wsi nie pomyśleli o nieszczęśliwym wypadku, jaki mógł tu wchodzić w grę, lecz orzekli jednogłośnie, że chłopca porwał Puntianak, duch przebywający pomiędzy gałęziami drzew. Podług rozpowszechnionego w całych Indjach wierzenia, Puntjanak jest to pokutująca dusza zmarłej podczas połogu kobiety. Zły ten duch prześladuje głównie kobiety rodzące i jest przyczyną ich srogich cierpień. Aby zmarła podczas porodu kobieta nie zamienieniła się w Puntjanaka, kładą jej do ręki lub pod pachę jajko, zabijają ciernie lub szpilki pod paznogcie i przybijają gwoździami do trumny. Puntjanak ukazuje się pod postacią złowróżbnego ptaka. Rzadko się zdarza, aby porywał on dzieci w starszym wieku, albowiem tę właściwość przypisują Indusi innemu złemu duchowi, który nazywa się Tjulik. Z wierzeniem w Tjulika łączy się zabobon rozpowszechniony w Japonji, który kukułce, zwanej w tym kraju tiulikiem przypisuje te same czyny. W wypadku opisanym uważano jednak, że nie Tjulik lecz Puntjanak porwał chłopca i dlatego wieczorem o godzinie 10 rozpoczęto łowy na rabusia. Ogromne tłumy tubylców oraz Europejczyków, którzy się zjechali na to ciekawe widowisko, zaległy plant kolejowy, wzdłuż którego rosły kolosalne drzewa, siedlisko Puntjanaka. Wytworzył się z tego obraz o niesłychanie jaskrawych kontrastach: telegraficzne i telefoniczne słupy, w dal biegnące szyny, światła latarń i semaforów, skupione w grupy automobile z oślepiającemi reflektorami i na tem na wskroś współczesnem tle tłumu krajowców, palących kadzidła pod drzewami poobwieszanemi najrozmaitszemi wotami i darami złożonemi ku przebłaganiu okrutnego Puntiaka. Napróżno sam gubernator starał się wytłumaczyć zebranemu tłumowi, iż zniknięcie chłopca przypisać należy jakiemuś wypadkowi, który z czasem zostanie wyjaśniony, tubylczy kapłan, spojrzawszy w swe czarodziejskie zwierciadło, zapewniał, że nikt inny, tylko ów duch żyjący wśród konarów drzew, porwał chłopca. I gdy wkrótce chłopiec, który, jak się okazało, najzwyczajniej zabłądził, został odnaleziony, wdzięczni wyznawcy Puntjanaka i jego przyjaciela Tjulika utrzymywali, że podrzucił go właśnie Puntjanak przerażony tak wielkim tłumem, upominającym się o zwrot chłopaka.

RZECZY CIEKAWE.

Pastuch astronomem.

Początki swe astronomja zawdzięcza, jak wiadomo, narodom pasterskim, które spędzając cały czas na wolnem powietrzu przy stadach swoich, śledziły nocami bieg tajemniczych świateł na ciemnym firmamencie, zauważyły ich stałe ruchy i powroty, dziwne konstelacje i zmiany. Nie dziw zatem, że i w dzisiejszych czasach mógł się znaleźć pastuch, którego długiemi nocami zajęły tak ruchy ciał niebieskich, że wkońcu stał się astronomem.

A był nim zmarły w tych dniach na wyspie jeziora szwedzkiego Tisar, po dosiągnięciu niemal setnego roku życia, astronom szwedzki August Madson, nocami badający gwiazdy, a dniami pasący kozy na wyspie.

Że w Szwecji jest więcej nocy niż dnia, Madson miał niemało czasu na oddawanie się ulubionemu zajęciu i osiągnął w tym kierunku wyniki bardzo wybitne.

Mniej więcej przed dwudziestu pięciu laty zwrócił uwagę kół naukowych memorjał, wysłany przez Madsona francuskiej Akademji wiedzy, proponujący zastosowanie systemu dziesiętnego także dla mierzenia czasu i podzielenia w tym celu doby na 25 zamiast przyjętych 24 godzin.

Propozycja Madsona wykazywała tak dobitnie, z taką wiedzą i polotem myśli korzyści, jakie odniosłaby astronomja z tej zmiany, że słynny astronom i popularyzator wiedzy, Kamil Flammarion, wyrobił u rządu francuskiego zaproszenie pastucha-astronoma do Paryża na wykład o swym projekcie. — Madson jednak nie chciał, będąc już wówczas sędziwym człowiekiem, opuszczać swojej ojczyzny. Od tego jednak czasu Flammarion utrzymywał z nim ożywioną korespondencję w sprawach naukowych.

Dziennikarz zawsze da sobie radę.

Po krótkim acz pracowitym żywocie umarł pewien dziennikarz. Dusza jego pukać poszła do wrót niebieskich. Lecz nie wpuszczono duszyczki biednego dziennikarza. Zabrakło dlań miejsca w niebie. Zmartwiona duszyczka udała się do czyśćca, lecz i tam jej nie przyjęto. Nawet i w piekle zabrakło dla niej miejsca. Ale dziennikarz zawsze sobie musi dać radę. Udała się biedna zewsząd odepchnięta dusza na niezamieszkaną planetę. Po kilku dniach zaczęła się tam ukazywać gazeta. Po tygodniu zaś miał dziennikarz wolny wstęp do nieba, czyśćca i piekła.

Odżywianie się przez skórę.

Zdarzają się wypadki, że przyjmowanie pokarmu przez żołądek jest uniemożliwione wskutek chorób przewodów pokarmowych. By takiego pacjenta uchronić przed śmiercią głodową, sztuka lekarska znalazła szereg sposobów sztucznego żywienia chorego. Przeważnie jednak pacjent musi być operowany.

Obecnie profesor uniwersytetu wiedeńskiego dr. Stejskal przy pomocy swego pacjenta dra Latzla opracował nowy sposób postępowania z tego rodzaju pacjentami, polegający na tem, by przez dłuższy czas doprowadzić do organizmu odpowiednią ilość pokarmu za pomocą skóry, podobnie jak dotychczas doprowadzano do organizmu pewne lekarstwa, a więc rtęć, jod, preparaty salicylowe, tuberkulinę. Przy pomocy kilkakrotnych wcierań, trwających kwadrans, można codzień doprowadzić do organizmu do 300 gramów substancji oleistej lub tłuszczowej.

Im częściej dokonywa się takich wcierań, tem bardziej przystosowywuje się skóra do tego rodzaju przyjmowania pokarmu. Jeszcze lepiej dają się wetrzeć większe ilości tłuszczu, jeżeli są zmieszane z proteinami t. zn. pewnemi ciałkami białkowatemi. U setek pacjentów, których prof. Stejskal w ten sposób żywił, stwierdził on początkowo spadek wagi ciała, jednakowoż po krótkim czasie dalszy spadek kończył się, a pacjenci, żywieni przez skórę, utrzymywali wagę swego ciała na jednym poziomie. Udało się uczonym sporządzić preparat, który w ilości 200 gramów, podawany w trzech wcieraniach, trwających 15 do 20 minut zostaje w zupełności wchłonięty przez organizm. Oleisty ten środek zawiera substancje, potrzebne do utrzymania życia.

Najgroźniejszy wróg żmiji.

Najgroźniejszych wrogów żmiji nie należy szukać, jakby się zdawało, pomiędzy kręgowcami. Niejedna żmija wprawdzie staje się łupem jeża lub większych dzikich kuraków, najgroźniejszemi wrogami żmiji są jednak mrówki. Żmija, nasyciwszy głód, leży bez ruchu, niemal bezwładna. A wówczas napadają na nią mrówki. Całemi gromadami przedostają się otworami w jej ciele do wnętrza i wcale szybko zabijają ją licznemi ukąszeniami, poczem zjadają. I dlatego to w okolicach, obfitujących w mrówki, żmije należą do rzadkości.

Nowe wydawnictwa.

Franciszek Lewandowski „Turcy pod Wiedniem" tragedja dziejowa w czterech aktach wraz z prologiem i epilogiem (w ośmiu odsłonach). Odbito czcionkami drukarni Księgarni Wydawniczej Wilhelma Zukerkandla w Złoczowie.

Główna treść sztuki: Akcja toczy się częściowo w obozach króla polskiego Jana III. Sobieskiego i wielkiego wezyra tureckiego Kara Mustafy — pod Wiedniem, a częściowo w pałacu sułtana w Konstantynopolu.

Zasadnicze motywy sztuki: Oblężenie Wiednia przez Turków w r. 1683 i odsiecz tegoż przez Jana III. Sobieskiego.

Utwór niniejszy uznany za godny sceny teatralnej, może więcej niż inne sztuki interesować czytelników, jako napisany przez młodego dotychczas jeszcze małoznanego autora; przytem zasługiwałby on zawsze na obszerniejszą wzmiankę, jako utwór oryginalny, jako sztuka historyczna niepospolitej wartości. Musimy mu bowiem oddać tę sprawiedliwość, przypisując utworowi oznaki wysokiego talentu. Wysoko cenimy w autorze, iż pomimo trudności wszelkich, nie wpada w pospolitość. Nie możemy powiedzieć, aby tam były myśli nowe, poglądy głębsze, ale sposób wyrażenia swych uczuć i pojęć jest całkiem oryginalny, nie rażą reminiscencje, jest powaga, a niekiedy nawet głębokość. Jan Sobieski szczególniej przemawia zawsze z prostotą, a zarazem godnością. Chwila kuszenia go przez kapłana indyjskiego (fakira) Allarabę jest wybornie oddana. Talent autora widoczny jest dalej w umiejętności nadania życia swoim postaciom. Lubi on je malować w nader żywych barwach, idealizuje swych bohaterów, są to istoty niezwykłe dobre (Sobieski, Zamojski, Stefan) lub złe (Kara Mustafa, Wassalska, Pac, Allaraba) do ostateczności, stąd może nie zawsze z prawdą życia, ale w każdym razie nie obojętnie. Djalogowanie łatwe, ruchu, życia nie brak, a póki intryga trwa, nawet zajęcie czytelnika jest ciągle, pragnie on, myśli i czuje wraz z osobami występującemi w sztuce. Przy tem wszystkiem należy uznać poczucie efektu dramatycznego, które umie często wyzyskać sytuacją i nie wpada nigdy prawie w przesadę. Mamy więc do czynienia z talentem niepospolitym, zważywszy jeszcze, że to talent początkujący, że to pierwszy utwór małoznanego jeszcze autora (jak o tem nam doniósł). Ktokolwiek uważnie przeczyta ten utwór, każdemu pozostawi on w myśli wrażenia głębokiej myśli i prawdziwej zdolności talentu autora. Autor wybrał ważny w dziejach narodu polskiego moment, owładnął materjałem i wyprowadził zeń prawdę ludzką, społeczną. Sposobem wypowiedzenia, formą zewnętrzną, dorównał on przedmiotowi: obok ciągłego poetycznego obrazowania, język czysty, niewymu-

szony, od pospolitości daleki, w każdej scenie zachowujący znaczenie myśli i życia. Głębszy pogląd w serce ludzkie, studja znakomitych dramaturgów, a wreszcie doświadczenie własne i wprawa powinne rozwinąć niezaprzeczony talent młodego autora. Życzymy mu powodzenia, a jeszcze więcej pracy, bo u nas można często spotkać się z talentami, zapowiedzi bywają świetne, ale złudzenie trwa krótko. Wawrzyny rosną na końcu ścieżki ciernistej i stromej. Nie każdy ma odwagę tam dojść, i jeśli mu się przeskoczyć odrazu nie uda, traci ducha i myśli o poddaniu twierdzy swych uczuć, jak ci aktorowie tragedji, którzy przesunęli się nam przed oczyma. Laur zdobi tylko skronie tak niezłomnych miłośników prawdy i piękna, do jakich słusznie zaliczyć można autora „Turków pod Wiedniem" Franciszka Lewandowskiego.

Cena jednego egzemplarza 1 zł. Zamawiać można wprost u autora Franciszka Lewandowskiego w Uhnowie (Małop.).

Odpowiedzi Redakcji.

Pp.: **Gabrjel Wirstnik** w Szcz.: „Gry słów i Aluzje" bardzo dobre — dziękujemy. — **Donat Lesiowski** w W.: Nowele mamy w tece. Nie poszły jeszcze z powodu braku miejsca. Na powieść czekamy, a po przeczytaniu jej odpowiemy. — **Antoni Żoczek** w D.: Niestety sposób ten jest nam nieznany. — **Jan Rembilas** w Ż.: O p. W. my mamy nieco inne pojęcie, aniżeli Pan. Jeszcze nie jest katolikiem ten, kto gołosłownie powiada, że nim jest, ale ten, kto żyje i działa po katolicku. Niech nam Pan wierzy, że mniej szkodzi Kościołowi taki człowiek, który otwarcie przeciw religji występuje, aniżeli ten, który, mogąc, nie działa w myśl zasad Kościoła. Wiemy także i to, że wymienieni przez Pana ludzie są gorsi od p. W., ale nie znaczy to, aby p. W. był bez grzechu. Cieszy nas, że Pan potępia rozdział Kościoła od państwa i reformę rolną bez odszkodowania, gdyż i my uważamy rozdział Kościoła od państwa, jako klęskę dla katolicyzmu, a temsamem i dla narodu polskiego, zaś reforma rolna bez odszkodowania byłaby prostą grabieżą cudzego dobra. Wreszcie cieszylibyśmy się bardzo, żeby w Sejmie naszym zasiadali tylko posłowie-katolicy, lecz katolicy nie z imienia tylko, ale z przekonania i czynów. — **Ludwik S. Unsing** w B.: I myśmy to zauważyli, że artykuł nam nadesłany, był drukowany równocześnie i w innym tygodniku. Przypuszczamy jednak, że wysłanie go równocześnie do dwóch redakcyj nastąpiło tylko przez omyłkę. Żaden autor bowiem, który chce, aby jego utwory były chętnie drukowane, nie posyła ich równocześnie do dwóch pism. — **Jan Kozień** w D.: Pod cudzymi utworami nie można bezwarunkowo podpisywać swojego nazwiska, gdyż można się przez to narazić na wiele nieprzyjemności. — **„Efym"**: Owszem, wierszyki przeczytałem z prawdziwą przyjemnością, gdyż są miłe i udatne. Jeżeli się trafi tu i ówdzie jakaś usterka, to jest ona taka drobna, że można łatwo ją usunąć. Powinien Pan pisać dużo... dużo, bo talent jest. „Estetyka żywego słowa" wyszła nakładem księgarni B. Połonieckiego we Lwowie i tam ją zapewne nabyć będzie można. Ceny nie wiemy. — **Antoni Lechowicz** w M.: Maciuś za pisanki serdecznie dziękuje; bardzo ładne. — **Mieczysław Zdanowicz** w J.: Domowe środki nic tu nie pomogą, rzecz wymaga troskliwej opieki lekarskiej. — **Piotr Wenc** w Ś.: Otrzymaliśmy — dzięki. — **Antoni Szymański** w H.: Zbędne egzemplarze prosimy dać chętnemu do czytania. Pewnie, że przesyłając do oprawy „Rolę" musi Pan opłacić, i my też opłacamy i to zgóry. Posyłamy Panu numer 2, pierwszych mamy mało. Jak rękopis nadejdzie, to ocenę Pan będzie miał w odpowiedziach redakcji. Za życzenia bardzo dziękujemy. — **Wincenty Puchała** w M.: Za życzenia serdeczne dzięki. Cześć! — **Stanisław Kosowski** w P.: Pismo to już dawno nie wychodzi i redakcja zwinięta. — **Wł. Gustkiewicz** w Szcz.: Prenumerata do Francji kwartalnie 5 zł., półrocznie 9.50 zł. Za życzliwość dziękujemy. Cześć!

Ceny bydła i nierogacizny na krakowskiej targowicy:
w dniu 10 kwietnia b. r.
Płacono za jeden kilogram żywej wagi:

Buhaje	od 1·00 do 1·75 zł.	Jałownik	od 1·10 do 1·75 zł.
Woły	od 1·33 do 1·75 zł.	Cielęta	od 1·16 do 1·95 zł.
Krowy	od 0·80 do 1·66 zł.	Kozy i barany	0·00 do 0·00 zł
Nierogaciznę	1·80 do 2·20 zł.	Nierogaciznę bitej wagi	od 2·40 do 2·85



Zagadki do nagrody.

1. Logogryf.

(Ułożył „Yoga").

■ ☆ ☆ ☆ ☆ ■ Pieniądze.
■ ☆ ☆ ■ Mord.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ■ Wspak imię żeńskie.
■ ☆ ☆ ■ Pojedynczo.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ■ Rodzaj krzeseł.
■ ☆ ☆ ■ Osobna sala.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ■ Ptaki.
■ ☆ ☆ ■ Wspak sędzia turecki.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ■ Wspak półwysep afryk.
■ ☆ ☆ ■ Roślina.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ■ Korytko.
■ ☆ ☆ ■ Imię biblijne.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ■ Kolor.
■ ☆ ☆ ■ Wspak przemiany.

Litery początkowe, czytane z góry na dół i końcowe, czytane z dołu do góry dadzą dwa nazwiska i imiona poetów polskich.

2. Szarady.

(Ułożył Fl. Ciebiera z Rz.).

I.

Płyną szybko, nie wracają pierwsze pół [drugiego,
Trzeci drugi jest szkodliwy dla zdrowia [twojego.
Ptak, co gniazdo trzecie pierwsze miewa [dużo złości,
Całość w nocy i wieczorem rozjaśnia cie- [mności.

II.

Pierwsze drugie król Polanów z podania [nam znany,
Litera trzeciego, trzecie ogień wieczny [zwany.
Pół pierwszego, pierwsza czwarta znana jest [ztwardości,
Zapal sobie papierosa, poszukaj całości.

3. Przestawianki.

I.

(Ułożył Piotr Wenc z Ś.).

O! moi, przy, weź, do, na, smu, le, tki, dy, mij, ów, lę, ki, cia, ul, bo, ściom, smu, ja, tki, ka, ciół, bra, ta, u, le, ro, czas, koi, pią, kie, cię, tra, ży, re, i, bo.

Z powyższych zgłosek ułożyć czterowiersz drukowany w „Roli".

II.

(Ułożył Władysław Ptasiński z B.).

Jak ta pani K. karmi.

Z powyższego zdania ułożyć przysłowie.

4. Łamigłówka.

(Ułożył W. Ciepiela z B.).

0, 1, 1, 2, 5, 5, 6, 9.
X. X. (pod 2 i 5)

X	X	X	X	X	X	X	X
.	.	.	.	.	.	.	.
X	X	X	X	X	X	X	X
.	.	.	.	.	.	.	.

Wyrazy czytane z góry na dół:
1) Inaczej hełm. 2) Praca wiosenna 3) Wspak człowiek bez sumienia. 4) Trawa. 5) Miesiąc w kalendarzu żydowskim. 6) Nazwa u górali dla człowieka z dolin. 7) Potrzebny kowalom. 8) Kraj w Azji.

Rzędy poziome pierwszy i trzeci mają dać dwa nazwiska kapłanów. Liczby przestawić stosownie do całości.

Termin nadsyłania rozwiązań upływa dnia 21 b. m.

Znaczenie zagadek z Nru 14 „Roli": 1. Logogryf: Stefan Czarniecki — Karol Chodkiewicz. 2. Szarady: I. Bałabajka. II. Esperanto. III. Gilotyna. 3. Tajemniczy adres: Kapelan wojsk polskich. 4. Przestawianka: Łódka-torbasanna-rynna-pałka-osoba-nerka-marka.

Dobre rozwiązania w oznaczonym czasie nadesłali pp.: „Yoga" z K., Wł. Marko z K., Gabrjel Wirstnik z Szcz., Józef Kapuściński z L. (wierszem), Alfons Czader z S., I. Zydroń z P., I. Zajączkowski z S. i Piotr Wenc z Ś.

Nagrody wylosowali pp.: „Yoga" z K. i I. Zydroń z P.

Wydawca: Feliks Kowalczyk **Odpowiedzialny Redaktor: Antoni St. Bassara.**
W drukarni »Czasu« w Krakowie pod zarządem Leopolda Wójcika.

Kto winien.

— Kto rozbił tę szybę?

— Mamusia, ale właściwie winę ponosi tatuś, bo... usunął się, kiedy mamusia w niego garnkiem rzuciła.



Żądza wiedzy.

— Czy kto z was ma jeszcze jakie pytanie? — dowiaduje się wizytator w pewnej szkole?

Mały Jaś się zgłasza...

— No, powiedz, mój chłopcze!

— Kiedy pan wizytator odjedzie?



Kandydat na marynarza.

— Tak, mój chłopcze, musisz wreszcie postanowić, czem chcesz zostać. Wszyscy tu na ziemi musimy pracować.

— To ja już lepiej zostanę marynarzem...

Sublokator.

— Woda do ust znowu była dziś mętna!

— Woda do ust? Przecież to była pańska kawa!...



W wagonie.

— Panie konduktorze! Chciałbym być sam w przedziale!

Konduktor (czując w dłoni tylko dwa złote napiwku) powiada do pasażera:

— Bardzo proszę! Posadzę pana w przedziale, gdzie siedzi tylko jeden pan, który mi zato samo dał pięć złotych.



W szkole.

— Ja to mam matkę! Codzień mnie tłucze.

— E, masz się też z czego stawiać! Moja matka tłucze rano mnie, w południe służącą, a wieczorem ojca.

Giełda płodów rolniczych

z dnia 30 marca b. r.

Pszenica .	56·00—57·00	Słoma długa	9·00—9·50
Żyto . .	00·00—00·00	Ziemniaki stoł.	0·00—0·00
Owies . .	41·00—42·00	Koniczyna nasienn. czer.	300·00—330·00
Jęczmień .	41·00—43·00		
Łubin żółty	30·50—32·50	Otręby żytnie	31·50—32·00
Fasola biała	58·00—59·00	Mąka żytnia	60·00—61·00
Groch zwyk.	00·00—00·00	Mąka pszen.	87·50—89·00
Siano słodk.	14·00—15·00	Otręby pszen.	32·00—33·00
Konicz pastew.	19·00—20·00	Mąka czerw.	35·00—36·00

Ceny rozumieją się za towar średniej handl. jakości za 100 kg.

Zyczenia na czekach prosimy wypisywać na środkowej części czeku, gdyż tę część otrzymujemy.